

- Wianki w Utrechcie
- Filmy i książki

**Mitych
Wakacji!**



ROZA NOWA 1993

Stępek

Jędrzej Stępek
artyści plastyk

likanie unikatowa,
rzeźba, plakat, architektura wnętrz,
scenografia, performance





ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

Lato w Europie zaczęło się wyjątkowo upalnie. Na brak słońca nie możemy narzekać. Również Wianki, które niedawno odbyły się w Utrechcie upłynęły w słonecznej i rodzinnej atmosferze. Imprezy Sceny Polskiej nie mogą konkurować z komercyjnymi, coraz liczniejszymi imprezami dla Polonii. Dlatego cieszy obecność stałej, wiernej publiczności i tej, która jakimś sposobem potrafi nas odszukać i zostać z nami na dłużej. Jeszcze w tym roku zaprosimy Państwa do teatru i do kina. Ale o tym w następnym numerze.

To, że nasze pismo Scena Polska ukazuje się już prawie trzydzieści lat to zasługa wspaniałego zespołu redakcyjnego. Cała redakcja i współpracownicy pracują non profit! A nie są to amatorzy.

Drodzy Czytelnicy. Pozwólcie, że trochę się pochwalimy. W ostatnich miesiącach

o naszych przyjaciółach piszących na łamach Sceny Polskiej było głośno. Aktor, Jacek Kałucki wydał swoją pierwszą książkę „Sekrety zza kulis”. Wywiadem z autorem podzieliła się z nami na stronie 16 Elżbieta Podolska. Z Australii przyleciał do Warszawy pisarz Alek Silber, aby promować swoją kolejną książkę. Jej fragment można przeczytać na stronie 10. Tak szczęśliwie się złożyło, że mogliśmy uczestniczyć w spotkaniu w dniu 5 czerwca w Domu Księgarza w Warszawie. Był obecny Marek Jeziorski, dyplomata, od którego otrzymałam świętujące wydanie, przetłumaczonej przez niego książki pt. „Kronika w kamieniu”. O tym na stronie 12. Na koniec gratulacje dla Grażyny Gramzy, która w czerwcu obroniła na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu tytuł doktora. GRATULACJE!

Ta więc, która łączy wolontariuszy Sceny Polskiej, członków redakcji naszego pisma z publicznością i czytelnikami nie została stworzona przez internet. Jest wynikiem dorobku 30 lat działania we wzajemnym poszanowaniu i szacunku do siebie oraz do kultury polskiej i innych kultur.

Będzie nam bardzo miło, jeśli zechcą Państwo dzielić się z nami swoimi odczuciami z lektury naszego pisma. Redakcja i autorzy bardzo tego potrzebują. Proszę pisać na adres: poolspodium@gmail.com. Przekażę autorom do których Państwo się zwróciacie. Z góry dziękujemy.

Życzę wszystkim Miłych Wakacji !

ZSzc

Spis treści

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ „Wianki” w Utrechcie – w słonecznym nastroju!.....	4
In Memoriam. Jędrzej Stępak – uniosły go wiklinowe skrzydła.....	6
EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI Pustka czy otwarcie?.....	7
KONRAD J. ZARĘBSKI Amelia z Góry Kalwarii.....	8
KONRAD J. ZARĘBSKI Kronikarz. Filmowiec z Pabianic pokaże swój film na Festiwalu Sundance!.....	9
ALEK SILBER Wizyta.....	10
Promocja książki Aleja Silbera „Ułamek sekundy”.....	11
MARIA MIŚ Festiwal filmowy ujęty w cudzysłów.....	12
MAREK JEZIORSKI Kronika w kamieniu, powieść albańskiego pisarza Ismaila Kadarego.....	13
ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ „Dzień Króla” po Wielkopolsku.....	14
In memoriam. Petrus Cornelis Koppert. Król Życia – „levensgenieter”.....	15
JOANNA DUDA MUROWSKI „Rozmowy przypadkowe” nieprzypadkowo pojechały na Podlasie.....	16
ANNA FRANÇOIS-KOS „Dyktatura ignorantów”.....	17
ELŻBIETA PODOLSKA Rozmowa z Jackiem Kałuckim. Aktorstwo? To jest to!!!.....	18
JERZY SKOCZYŁAS Wakacyjna czytanka.....	19
ALEKSANDRA JACKÓW Festiwale świata. Festiwal Filmowy w Wenecji.....	20
ANDRÉ SKIBNIEWSKI Job interview. Polservice.....	22
GRAŻYNA GRAMZA „Cieszę się, że moja mama umarła” – poruszające wspomnienia Jannette McCurdy.....	24
ALICJA GRYGIERCZYK Dobra rozmowa.....	25

Wianki

*wianki Janki Danki
świętojańska moc
kiedy dni najdłuższe
i najkrótsza noc
kiedy kwiat paproci
legendą zakwita
lato lato witaj*

Danuta Ławniczak



SCENA POLSKA | Nr 2(114)/2023 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org | www.facebook.com/scenapolska

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: fot. Nicolas Schrotten

DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki



„Wianki” w Utrechcie – w słonecznym nastroju!

„Noc Świętojańska, zwana potocznie Wiankami, obchodzona jest w najkrótszą noc w roku. Przeprowadzane w trakcie tej nocy zwyczaje i obrzędy słowiańskie miały zapewnić świętującym zdrowie i urodzaj. Rozpalano ogniska a w trakcie radosnych zabaw odbywały się różnego rodzaju wróżby i tańce. Dziewczęta puszczały w nurty rzek wianki z zapalonymi świecami. Jeśli wianek został wyłowiony przez kawalera, oznaczało to jej szybkie zamążpójście. Jeśli płynął, dziewczyna wyjdzie za mąż, ale nie prędko. Jeśli zaś płonął, utonął lub zaplątał się, prawdopodobnie zostanie ona starą panną...”



W słoneczną niedzielę 25 czerwca, dzień po Nocy Świętojańskiej, Scena Polska w Holandii, w gronie sympatycznej publiczności, artystów, gości z Polski i wolontariuszy fundacji powitała lato puszczaniem Wianków na wodzie i relaksującym programem artystycznym. Pierwsza do wyplatania wianka siadła Sabina, która potem, przez cały wieczór w chłodnej, z ceglanym sklepieniem salce

Fortu wyczarowywała dźwięki i wibracje z mis tybetańskich i gongów, dzięki którym, ludzie mogli poczuć się zrelaksowani i dowiedzieć się czegoś więcej o sobie. Chętnych do przeżycia tego doznania nie brakowało.

Plenerową imprezę rozpoczął krótki recital niezawodnej, zaprzyjaźnionej ze Sceną Polską wybitnej artystki jazzowej Anki Kozieł. W naturalnym, pięknym otoczeniu przyrody niezwykle głos Anki brzmiał jak na najlepszej sali koncertowej!

Z Hagi przyjechała też Gabriela Heberle, która zachwyciła pięknym, delikatnym i czystym głosem śpiewając piosenki, które przygotowała specjalnie na Wianki. Scena Polska serdecznie dziękuje Sabinie, Ance i Gabrysi za artystyczny upominek jakim nas obdarowały

W tym samym czasie w sali plenerowej czyli na trawie trwało wyplatanie przepięknych wianków, aż trudno uwierzyć, że z tego „co pod ręką” i ogłoszenia zwycięż-





Gdy już wszyscy byli gotowi, utworzył się orszak wiankowy i z piosenką „Wiła wianki...”, na ustach ruszył nad fosę, aby puścić wianki na wodę. Po przepłynięciu krótkiego „rejsu” zostały wyłowione i sprowadzone ponownie na ląd. (ciekawostka, wyłowił je obecny na Wiankach lekarz intensywnej opieki, jako chłopiec wyławiał je w tym samym miejscu z kolegami pływając na tratwie).

Po orszaku odbyła się biesiada ogniskowa przy dźwiękach gitar i wspólnym śpiewaniu. Były też kielbaski na ognisku, ze stoiska sklepu „Łowiczanka”, który oferował również wiele innych, atrakcyjnych polskich produktów. Pod koniec wieczoru odbyły się wspólne tańce.

Można opisywać jeszcze długo urok tego miłego spotkania, ale nic nie zastąpi jego osobistego przeżycia. Dziękujemy i ...do zobaczenia za rok!

ZSCz

cy konkursu. Jednoosobowe Jury w osobie Eugeniusza Brzezińskiego ogłosiło werdykt, zadowolający chyba każdego, bo...wygrali wszyscy! Dzięki uprzejmości Polskiej Organizacji Turystycznej z Amsterdamu, fundatora upominków, nagród starczyło dla wszystkich zwycięzców.

Mocnym punktem programu było pojawienie się w pełnym umundurowaniu Grupy Starszyny Hufca ZHP pod wodzą komendanta Łukasza Nyczkowskiego i komendanta Hufca ZHP p.wd. Krystiana Dybka, którzy przyjechali zaproszeni przez Scenę Polską na Wianki w Utrechcie. Nowotomscy harcerze od wielu lat współpracują z polską fundacją „hOlendry” (założoną z inicjatywy Pools Podium) w Nowej Róży pod Nowym Tomysłem.



In memoriam

Jędrzej Stępak

– uniosły go wiklinowe skrzydła

Zamarłam, gdy dotarła do mnie niespodziewana wiadomość o śmierci przyjaciela. Miał ich wielu, na całym świecie. Tym ziemskim i tym TAM. Wyjątkowa postać. Poznaliśmy się na poznańskiej uczelni gdzie studiował gobelin u Magdaleny Abakanowicz oraz projektowanie plakatu u Waldemara Świerzego. Jędrzej, jako student, zawsze uśmiechnięty blondynek z długimi włosami, a ostatnio profesor z długą, sędziwą brodą...ale oczy i uśmiech wciąż te same. Odszedł tak jak żył, jakby zaplanował ten performance... Wcześniej stworzył swoją replikę z gipsu i polecił postawić na swoim grobie. Trzymał tego „siebie” w cynkowej wannie w swojej pracowni i jak mi powiedział, zżył się z tą postacią.

Ale wróć do początków naszej znajomości. Jako świeżo upieczona absolwentka socjologii miałam to szczęście otrzymać etat wykładowcy w poznańskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Studenci ostatniego roku studiów, więc prawie moi rówieśnicy, otrzymywali u mnie zaliczenie z zajęć na temat znaczenia kultury w społeczeństwie, prowadzenie takiego przedmiotu zaproponował mi prorektor do spraw nauczania prof. Antoni Zydroń.

Jednym ze studentów był Jędrzej Stępak przygotowujący pracę magisterską o oddziaływaniu sztuki (gobelin, kolorowe obiekty z naturalnych tworzyw) na pacjen-



tów i personel na dziecięcym oddziale onkologii. W tamtych czasach to był szok! Sale szpitalne były białe, sterylne i puste, smutne...Jędrzej zawsze chciał wszystko ożywić, nadać radość trwania. Stąd też późniejsza działalność artystyczna związana z tworzeniem płotów z wikliny, którą sadił i zaplatał. Żywe obiekty, to była kontynuacja Jego filozofii artystycznej.

Jędrzej zapraszał mnie i brałam udział w rozmaitych jego działaniach. Był aktorem w Teatrze Maya, tworzył własne perfor-

mance. Słynne stąpanie po czaszkach z gipsu ułożonych w labiryncie z czarnych kotar wywołało wielkie poruszenie w 1985 roku w Assen w Holandii, na który to performance Jędrzej mnie zaprosił. Odbywała się tam pierwsza wielka zbiorowa wystawa polskich artystów, wystawiały prace m.in. Izabella Gustowska i Krystyna Piotrowska. Wróć jeszcze do tych wydarzeń, bo Karolina Stępak przygotowuje album o życiu i twórczości męża. Mnie przypadł w udziale rozdział o związkach z Holandią.

Fundacja Pools Podium – Scena Polska w Holandii współpracowała na co dzień z artystą. Jędrzej występował w Holandii na nasze zaproszenie, organizował wystawy i publikował artykuły w naszym kwartalniku. W Polsce ściśle współpracował ze Sceną Młodych, a współpracę zapoczątkowało stworzenie scenografii dla spektaklu „Juwentilia” w roku 2000 w Nowej Róży. Tutaj też, już w 1993 roku, zorganizowaliśmy wspólnie wystawę obiektów z wikliny, które wcześniej były stworzone jako wnętrze polskiego pawilonu na Expo 1992 w Sewilli. Wkrótce znalazł w pobliżu starą szkołę w Cichej Górze, która stała się jego drugim domem i pracownią. To sąsiedztwo jeszcze bardziej wzmocniło naszą współpracę. Ponoć nadawaliśmy na podobnych falach... a może skrzydłach?

Skrzydła Europy, które stworzył gdy Polska wstępowała do Unii Europejskiej na zawsze pozostaną symbolem otwartego spojrzenia artysty na świat. Na zawsze w pamięci przyjaciół w Ekwadorze, we Lwowie, w Holandii, w Stanach Zjednoczonych. Miejsca mu bliskie w Polsce to Cicha Góra, Baranowo, Lednica, Nowa Róża, Nowy Tomyśl, Łódź, Poznań. A TAM...? Ojciec Góra, Dominikanin, na zawsze przyjaciel.

Ostatnie zdjęcie, które publikowaliśmy w noworocznym numerze Sceny Polskiej to dowcipne zdjęcie, które Jędrzej umieścił na swoim profilu na FB. Skrzydła które uniosły artystę w inny świat, dużo za wcześniej... niech pozostaną rozpostarte, bo to co stworzył nie odfrunie i zostanie na zawsze.

To tylko jedna strona wspomnień...za szybko, żeby ogarnąć więcej.



Piotr Kowalski, Jędrzej Stępak, Andrzej Pągowski

Fot. archiwum

ZSCZ

Pustka czy otwarcie?



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Miałem ostatnio niewątpliwą zaszczyt i przyjemność obecności („brać udział” byłby tu ewidentnym nadużyciem) na sesji naukowej. Była to wyjazdowa sesja Instytutu Literatury z dużego polskiego miasta. 48 osób zrobiło sobie piękną pięciodniową wycieczkę do Amsterdamu, w ramach której była również wystawa Vermeera w Rijksmuseum. A jako że była to wycieczka, broń boże (zielony), nie jakaś tam prywatna, to trzeba było mieć w programie także „wyjazdową sesję naukową”. W ten właśnie sposób w piątek o piętnastej, w miejscu dobrze mi znanym, rozpoczęła się seria trzech wykładów Mądrych Ludzi (pani doktor i dwoje profesorów, wszyscy raczej literaturoznawcy). W skład wycieczki wchodziło zresztą gremium bardzo różnorodne jeśli chodzi o wiek, płeć (z przewagą kobiet) oraz miejsce zamieszkania w Kraju. Ogólnym tematem wykładów były „holenderskie ekfrazy”, co już samo w sobie wzbudziło moją ciekawość, bo przynajmniej w wstydem parweniusza, że w życiu nie spotkałem się ze słowem „ekfrazą” (zabawne; również korektor Worda zaznacza mi to jako słowo nieistniejące!). A słowo takie istnieje i pojęcie również. Oznacza ono utwór, najczęściej chyba poetycki (ale głowy nie dam)¹ powstały pod wpływem dzieła

¹ Ekfrazja (gr. ἐκφρασις – dokładny opis) – artystyczny (zwykle szczegółowy) opis dzieła sztuki w literaturze pięknej (zarówno poezji, prozie jak i w dramacie). Może stanowić całość lub część utworu. Początkowo była tylko figurą retoryczną. Później zyskała także znaczenie genologiczne – zaczęła funkcjonować jako gatunek literacki. Ekfrazja może realizować się przez: nawiązanie (np. wskazanie bezpośrednio tytułu lub autora dzieła) dyskurs o sztuce (negacja lub poparcie wyznaczników estetycznych dzieła, do którego się odwołuje) interpretację (próba przekładu intersemiotycznego, np. przetworzenie rzeczywistości z obrazu na język poetycki; często poeta „wykracza poza ramy obrazu” i uszczegóławia świat przedstawiony) (Wikipedia)

malarskiego. Czyli, w największym uproszczeniu, taki na przykład Miłosz, stanął przed obrazem Hieronima Boscha w Muzeum Prado i tak się nim zachwycił – albo też takie na nim ten obraz wywarł wrażenie – że zainspirowało go to do napisania poematu. Oprócz Miłosza i Boscha były jeszcze omawiane inspiracje obrazami właśnie Vermeera, w jednym przypadku były to wiersze czworga poetów polskich, w drugim jednego poety szwedzkiego (ale za to Noblisty). Jeśli idzie o Boscha i Miłosza, to niewiele skorzysta-

raz już powszechnie będziemy mówić „om”? Bo przecież skoro sam Prezes tak mówi, to musi to być poprawne?

Ale wracajmy do meritumu, jak mawiał klasyk. Wykłady były bardzo naukowe, publiczność, czy też raczej biorące w symposium grono naukowców, żywo zaangażowane w dyskusję po (myślę, że co najmniej pięć osób zabierało głos, wygłaszając bardzo mądre opinie, a nawet chwilami spierając się o coś z poprzednikami). Muszę powiedzieć, że po raz pierwszy chyba byłem świadkiem czegoś, co z definicji, ale i z treści, było chyba prawdziwą „dyskusją akademicką”. Padło tyle pięknych – a czasem może nieco mniej pięknych – zdań na temat malarstwa i literatury, dyskutujący naprawdę znali się na rzeczy, umieli nazwać trendy i nurty, barwy i rymy, potrafili opowiadać o wierszach, które powstały pod wrażeniem obrazów i o obrazach, które były inspiracją poetów. A ja – biedny, skromny i kompletnie zagubiony amatorski polykwal wszechkier dzieł kultury – myślałem do tej pory, że jeśli ktoś namalował obraz, który robi na mnie szczególnie wrażenie, który mnie jakoś dotyka, którego wymowy nawet nie do końca i nie zawsze potrafię zrozumieć, to już jest okej. A jeśli jeszcze dodatkowo jakiś wielki, albo nawet mniej wielki, poeta napisze piękny wiersz tym obrazem inspirowany, i w ten sposób da mi, być może, szansę innego spojrzenia, odkrycia czegoś nowego, ale przede wszystkim da mi radość czytania



Vermeer – Kobieta czytająca list

Fot. Wiki Commons

pięknego wiersza, co jest przecież przyjemnością samą w sobie, to chyba więcej oczekiwać od sztuki wręcz nie wypada. Ależ byłem naiwny! Okazało się bowiem, że zarówno na obrazach, jaki w ekfrazach znaleźć można materiał do burzliwych dyskusji. Dam przykład „z życia”. Na jednym z dzieł Vermeera („Kobieta czytająca list”) widać kawałek oparcia krzesła. To oparcie ma kolor taki lekko niebieskawo. Poeta napisał, że ta niebieskość symbolizuje pustkę. Ale ktoś z dyskutujących podsunął, że może to wcale nie pustka, tylko „otwarcie”. Dostyć długo się o to spierano, używając argumentów wykraczających daleko poza moją zdolność zapamiętania ich wszystkich. Zresztą nikt nikogo raczej nie przekonał; zwolennicy „pustki” pozostali zamknięci na argumenty zwolenników „otwarcia”. A ja sobie pomyślałem, że przecież nie są to wcale pojęcia wykluczające się. Może ten kawałek niebieskiego oparcia krzesła u Vermeera symbolizował „otwarcie na pustkę”? Ale co ja tam wiem...

łem. Wykład pani doktor był dla mnie zbyt skomplikowany, przestałem się w pewnym momencie skupiać na jego treści, zacząłem natomiast coraz bardziej boleśnie przeżywać końcówki czasowników w liczbie mnogiej czasu teraźniejszego – i nie tylko – wymawianych przez Panią Prelegentkę w sposób charakterystyczny dla najważniejszego Prezesa Naszej Ojczyzny (pozwolę sobie zacytować Stanisława Tyma: „som ludzie i bendem się z tom beznadziejnom ideom demokracji obnosić”, który, choć zaznacza, że cytuje z pamięci i tendencyjnie, w pełni oddaje, co jest na rzeczy). Otóż to, co u Prezesa mnie drażni (bo nie jest to z pewnością najgorsze, co sobą reprezentuje), u pani doktor z literaturoznawstwa doprowadzało mnie do białej gorączki; musiałem na chwilę wyjść, przewietrzyć się, zebrać myśli i zastanowić się, dlaczego na uniwersytetach nawet, w dodatku na wydziale raczej polonistyki, nie uczą ludzi poprawnej wymowy. A może to już jest takie „trynd”, może odchodzimy od „ą” i te-

Amelia z Góry Kalwarii



KONRAD J. ZARĘBSKI

Marcin Bortkiewicz nigdy nie studiował reżyserii filmowej, jeśli nie liczyć kursu dokumentalnego w Mistrzowskiej Szkole Andrzeja Wajdy. Nigdy też nie studiował aktorstwa, ale w rodzinnym Słupsku uczęszczał do Ośrodka Teatralnego Rondo przy miejscowym domu kultury, a później los rzucił go do Kielc, gdzie zaangażował się do alternatywnego teatru Ecce Homo i tam spróbował reżyserii. Próby były obiecujące – teatr dostrzeżono na krajowych przeglądach scen alternatywnych i niezależnych, dziś zresztą jest organizatorem – od już ponad 20 lat – Przegląd Teatrów Alternatywnych.

Jako reżyser filmowy zadebiutował niespełna godzinnym dokumentem „Nauczanie początkowe”, ukazującym tajniki fokarium na Helu. Film zdobył kilka nagród, w tym wyróżnienie na Krakowskim Festiwalu Filmowym, a Bortkiewicz zwrócił się w stronę fabuły. Ma za sobą kilka krótkich metraży, około setki odcinków różnych seriali i debiut fabularny – „Noc Walpurgi”, który zdominował festiwal Młodzi i Film w Koszalinie w 2015 roku, łącznie z nagrodą publiczności. Także publiczność festiwalu gdyńskiego wyróżniła go swoją nagrodą – był najdłużej oklaskiwanym filmem przeglądu.

Wkrótce po premierze „Walpurgi” Bortkiewicz zapisał znamienne zdanie: „Wszystko co pamiętam, pamiętam tak, jakby zdarzyło się teraz”. A dalej potoczyła się historia dziecka, mniej więcej 10-11-letniego, obserwującego świat ze swojej perspektywy. Nie była to opowieść ani wesoła, ani nostalgiczna, twórca nie ukrywa, że oparł się na własnej biografii: dorastanie w Słupsku, niby miście (wówczas) wojewódzkim, ale jednak prowincjonalnym, bez ojca (którego nie pamięta), w domu swojej babci, która używała schronienia swoim dzieciom, jego matce i wujkowi Leszkowi. Punktem wyjścia historii była zapamiętana z tamtego okresu scena, kiedy pewna młoda kobieta siedła pod drzwiami mieszkania, żądając od



Leszka rozstrzygających decyzji o charakterze matrymonialnym. Ta scena stała się kluczem do rozumienia otaczającego świata, choć właściwie jej rozumienie przyszło dopiero z czasem.

Scenariusz spotkał się z uznaniem ekspertów, dostrzeżono w nim (nieco wbrew woli autora) materiał na film z gatunku coming-of-age, czyli kino rodzinne o dorastaniu. A skoro reżyser nie chce sam oczyścić scenariusza z takich trudnych elementów, jak prowincjonalna obyczajowość, nadmiar alkoholu i – o zgrozo! – aborcja, to może lepiej przekazać ten film innemu twórcy? W odpowiedzi Bortkiewicz wycofał projekt i poszukał innego producenta. Miał szczęście, udało mu się zdobyć pieniądze. W tym samym czasie zorientował się, że musi wprowadzić kluczowe zmiany w swojej opowieści, bowiem znajdująca się dokładnie w wieku głównej postaci filmu jego córka, Marianna, ujawniła niezwykły talent aktorski.

Od tej pory szczęście nie opuszczało Bortkiewicza. Odnalazł zapamiętane plenery sprzed lat w podwarszawskiej Górze Kalwarii, zagwaran-

tował sobie udział – jako babci – Małgorzaty Zajączkowskiej, wybitnej aktorki, która grała m.in. u Paula Mazursky'ego i Woody Allena, a w „Nocy Walpurgi” stworzyła kreację wręcz brawurową, a także świetnej aktorki teatralnej Ireny Jun, niegdyś muzy Józefa Szajny, która zgodziła się „zostać” prababką bohaterki. Kompletu dopełnia – jako Tatko – Adam Bobik, który w tym filmie, po latach grania ogonów, zyskał szansę na objawienie swojego aktorskiego potencjału. Ale nawet największy zapas szczęścia musi się kiedyś wyczerpać: nadeszła pandemia i zamknięto kina, co oznaczało, że wprawdzie film można było ukończyć bez pośpiechu, ale data premiery była wielką niewiadomą.

Film nosi tytuł „Tonia”, a jego premiera odbyła się w maju tego roku. Jego fabuła daje się streścić w trzech zdaniach. Tytułowa bohaterka straciła matkę przy porodzie, wychowuje (tak to nazwijmy) ją ojciec-alkoholik, szczęśliwie pod pilnym okiem swojej matki, a więc babci Toni. Starsza pani załatwia synowi pracę we Włoszech. Przerazona dziewczynka gotowa jest na wszystko, by uniemożliwić wyjazd ojca – boi się, że go straci.

Przed oczami widza rozciąga się panorama biednej miejscowości, czegoś pośredniego między miastem i wsią, gdzie nie brakuje jednego – okazji do wypicia wódki. Dziewczynka buduje wielopiętrową intrygę: a to pcha ojca w ramiona kompanów do wypitki, a to wykrada mu bilet na autobus do Włoch, a to aranżuje spotkanie z niedawną dziewczyną Tatka. Cel jest jeden: pijany ojciec ma się spóźnić na autobus i pozostać ostoją dorastającej Toni. Aż do momentu gorzkiej kulminacji.

Na czym owa kulminacja polegała, niech pozostanie niespodzianką dla tych, którzy film obejrzą. A jest co oglądać. Bystra Tonia co chwila wymyśla nowe sposoby, by zawrócić Tatkę z drogi do Włoch. A czyni to nie tylko z błyskiem w oku, autentycznym wdziękiem, ale i z podziwu godnym uporem, choć jakby mimochodem. Aż przychodzi na myśl słynny film „Amelia” Jeana-Pierre’a Jeuneta, gdzie tytułowa bohaterka niesła samo dobro i naprawiała dobrostan całego świata wokół. Wprawdzie Bortkiewicz lubi mówić o swoim filmie komedia bolesna [z włoskiego – commedia-dolorosa], ale czy przypadkiem Marianna Bortkiewicz nie przyjęła pseudonimu artystycznego Ame [w języku hindi – ‘deszcz’], by ową Ameliowatość pokreślić? To była uroczą, podnoszącą na duchu opowieść. Gdyby wszystkie filmy po pandemii zapewniały takie samopoczucie, warto byłoby wracać do kin.



Tonia

Fot. mat. prasowe

Filmowiec z Pabianic pokaże swój film na Festiwalu Sundance!

Kronikarz

KONRAD J. ZARĘBSKI

Pan Zbyszek Gajzler trafił do łódzkiej Szkoły Filmowej w najlepszym momencie. Właśnie na fali sukcesów polskiego kina – następujących rok po roku oscarowych nominacji „Potopu” Jerzego Hofmana, „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy i „Nocy i dni” Jerzego Antczaka – ówczesne władze, zgodnie z obowiązującą wówczas logiką propagandy sukcesu, dostrzegły w rodzimej kinematografii światowego potentata. Na poparcie tego „snu o potęgę” Rada Ministrów ogłosiła Uchwałę o rozwoju kinematografii polskiej, która przewidywała wzrost produkcji kinowych filmów fabularnych z 35 do 50 rocznie, zaś filmów telewizyjnych z tzw. 105 odcinków obliczeniowych (półgodzinnych) do 500 odcinków rocznie. Taki wzrost produkcji do 1990 roku miała umożliwić generalna modernizacja bazy produkcji filmowej aż do uruchomienia (już w 1980 roku!) całkowicie nowej wytwórni filmowej w Warszawie. Aby cała ta nowa rodzima produkcja mogła dotrzeć do widzów, potrzebna była budowa co najmniej 50 kin (do roku 1980) oraz modernizacja wyposażenia 250 kin. Ale już końcówka lat 70., zwieńczona strajkami i powstaniem „Solidarności”, kazała zweryfikować te kreślone z rozmachem plany: jedynym trwałym skutkiem uchwały było dopisanie do nazwy warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych dwóch słów – „i Fabularnych”.

Tymczasem pan Zbyszek skończył studia i podjął pracę w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych, o której w środowisku mówiono z przekąsem „Hollyłódź”. Pracował z najlepszymi – Markiem Koterskim, Filipem Bajonem, Juliuszem Machulskim, Robertem Glińskim, by wspomnieć niektóre nazwiska. Był operatorem kamery i fofosistą. Na to, by przebić się do pierwszego szeregu, zabrakło impulsu, a raczej – czasu. W 1989 roku, wraz z transformacją ustrojową, polskie kino finansowane przez państwo przestało istnieć. Nowe polskie filmy można było policzyć niemal na palcach jednej ręki. Ale pan Zbyszek miał szczęście. Wprawdzie łódzka wytwórnia została rozparcelowana (w dawnej głównej hali zdjęciowej mieści się dziś klub muzyczny Wytwórnia, zaś w z trudem wywalczonym przez środowisko filmowe Pałacu Dźwięku ma swą siedzibę telewizja kablowa Toya), ale dla niego praca się znalazła – już to przy nowych filmach, już to na rodzimym się rynku polskiej reklamy.

Zwłaszcza ten drugi obszar był wówczas niezwykle ciekawy. Wprawdzie Andrzej Łapicki, prezes ZASP-u, grzmiał, że aktorowi „z nazwiskiem” grać w reklamach nie przystoi, ale rachunki płacić trzeba. Na planie reklam spotykali się najwybitniejsi – może nie Wajda, Zanussi czy Kiesłowski, ale pozostali – owszem. Gdyby reklamy miały swoje listy płac (jak się mówi o napisach końcowych), polska widownia przeżyłaby wstrząs. Ale czemu się dziwić? Reklamy powstawały w tydzień, a stawki były jak za pełne metraże, które realizuje się miesiącami. Pytanie tylko, jak długo można tak jeździć z Pabianic do Warszawy na plan filmowy, kiedy założyły się rodziny, która w sposób naturalny zaczęła się powiększać.

Tyle że fotografia i film były pasją pana Zbyszka od lat dziecięcych. Swój pierwszy apa-

Żydów, ostatnich z 9-tysięcznej populacji, jaka zamieszkiwała Pabianice przed wojną. Film zdobył kilka nagród na światowych festiwalach, trafił do Shoah Foundation Stevena Spielberga, przyniósł panu Zbyszkowi rozgłos i rozpoznawalność w Pabianicach, przekonał o słuszności wyboru. Kolejne tytuły, powstające co 2-3 lata, układają się w swoistą kronikę miasta, wyluskującą z jego historii i tłumy mieszkańców ciekawe fragmenty i niezwykle ludzi – może i czasem kontrowersyjnych, ale otwartych na innych.

„Moja praca przebiega dwutorowo – odpowiada na pytanie, skąd udaje mu się zdobyć środki na swoje realizacje. – Pierwsza jest zawsze koncepcja filmu, warstwa artystyczna i te sprawy. Tor drugi to generowanie środków na kolejny projekt. Najczęściej pochodzą one z prywatnych pieniędzy ludzi biznesu, przy niedużym wsparciu lokalnego samorządu. Myślę, że przeciętny widz Samorządu lokalnego, przeciętny obywatel, podejrzewam nie tylko z mojego miasta, nie ma pojęcia, ile kosztuje wyprodukowanie godzinnego filmu dokumentalnego. Szczęśliwie, mam dar zjednywania wokół siebie ciekawych ludzi, bardzo cenny dar, który dla mnie stanowi największą wartość, w przeciwieństwie do rzeczy materialnych. Każdego poranka budzę się z ciekawością, co przyniesie nowy dzień i kogo poznam?”

W świecie pana Zbyszka Gajzlera są więc pabianiccy zesłańcy, którzy trafili na Syberię w czasach II wojny, jest przedwcześnie zmarły pianista Karol Nicze, finalista

Konkursu Chopinowskiego w 1970 roku, jest niepełnosprawny mistrz sportu Krzysztof Jarczyński, a także „sierota po Kotanie” – Marek Skrzykowski, założyciel Stowarzyszenia Granica, które na wzór dawnego Monaru walczy z uzależnieniami i bezdomnością. Bohaterkami dwóch ostatnich filmów są intrygujące kobiety – Marzenna, bohaterka „Kocham życie”, wspiera panie po mastektomii, którą sama przeszła, zaś Katarzyna z „Wygranej” – filmu właśnie zakwalifikowanego na Festiwal Sundance Roberta Redforda – decyduje się na szczere wyznanie, jak wygląda życie wyleczonej (czy do końca?) z nałogu alkoholizacji. Ich pabianickość, podobnie jak w przypadku innych bohaterów filmów pana Zbyszka, jest czymś w rodzaju elementu krajobrazu, zaznaczeniem, skąd pochodzą. Ale dla widza spoza Pabianic czy pobliskiej Łodzi ma znaczenie drugorzędne, bowiem najważniejszy jest tu człowiek – w całym pięknie swego charakteru. Można tych ludzi nie lubić – zazwyczaj są szorstcy i nie owijają spraw w bawełnę, ale nie sposób ich nie podziwiać. ■



Zbigniew Gajzler

Fot. arch. prywatne

rat dostał na komunię i od tamtej pory się z nim nie rozstawał. Marzenie o szkole filmowej nie miało alternatywy. A teraz, skoro wyjazdy do Warszawy stały się kłopotliwe, trzeba było rozjeżdżać się za jakąś filmową robotą na miejscu. Odkrył, że niejaki Eduard Julius Vortheil miał dom w Pabianicach. Z tym, że określenie „niejaki” jest wysoce niestosowne – wszak Vortheil był ojcem chrzestnym Eugeniusza Bodo i wspólnikiem jego ojca, założyciela pierwszego stałego kina w Łodzi. Wymarzony bohater na film! I tak się zaczęło, w 2002 roku Zbigniew Gajzler i Andrzej Perz przedstawili film „Eduard Julius Vortheil. Sny i marzenia pioniera fotografii”, prezentujące sylwetkę niderlandzkiego wędrowca, który osiedlił się i zmarł w Pabianicach.

A potem już poszło samo. Ktoś powiedział panu Zbyszkowi, że do Pabianic przyjechał z Tel Awiwu Alexander Bartal-Bicz, jeden z nielicznych ocalałych Żydów z pabianickiego getta. Zaaranżował spotkanie i namówił przybyścia na garść wspomnień. Na ich kanwie powstał film „Sarid” – świadectwo kilkorga ocalałych

Wizyta

ALEK SILBER

– Dzień dobry panu. Nazywam się Ireneusz Wiseman, mam zamówioną wizytę u pana.

– Tak, oczywiście, wiem. Proszę, niech pan siądzie na kanapie. Proszę zdjąć płaszcz i czuć się swobodnie.

– Dziękuję. Ma pan imponującą bibliotekę.

– No tak, przez lata trochę się tego nazbierało. Oczywiście znaczna część to literatura fałszywa. Ale co pana do mnie sprowadza?

– Jak by to powiedzieć, za tydzień kończę osiemdziesiąt lat. To poważna liczba, więcej niż życia Mozarta i Chopina razem wzięte, najwyższy czas na jakieś podsumowania i wnioski...

– Gratuluję dostojnego wieku. Nie wygląda pan na swoje lata.

– Dziękuję. Gorsze jest to, że nie mam także rozumu jak na swoje lata. Może inaczej. Przychodzę do pana z prośbą o poradę, o wyjaśnienie.

– Wyjaśnienie czego?

– Wyjaśnienie wszystkiego: świata, ludzi, życia...

– W takim razie chyba pan wybrał nieodpowiedni adres. Moją rolą jest pomaganie ludziom w zrozumieniu siebie, w odnalezieniu przyczyn życiowej traumy, ułatwianie im dalszego życia. Ale nawet w tym nie doradzam, a raczej pomagam im odkryć prawdę o sobie...

– Ale ja...

– Chwileczkę, pozwoli pan, że dokończę. Stając obok swoich pacjentów, niejako przystawiam im lustro, ewentualnie od czasu do czasu zmieniam jego kąt albo rzucam boczne światło. Ale to oni sami szukają, to oni śledzą ścieżkę swojego życia. Toteż nie potrafię panu pomóc z dwóch powodów: po pierwsze – nie zajmuję się ideami, a ludźmi, po drugie – nie daję odpowiedzi, tylko pomagam je znaleźć.

– Więc jeśli nie do pana, to do kogo mam się zwrócić? Do szewca, do malarza, poety, rabina, księdza, futbolisty? Zresztą, kto wie, może chcę wiedzieć zbyt wiele, może mam nierealne oczekiwania, a może te pytania wynikają z mojej psychiki?

– Tu mnie pan zainteresował. Faktycznie, kiedy spojrzę wstecz na listę swoich pacjentów, to jest w nich pewna cecha wspólna – wszyscy byli inteligentni. Przypomniał mi pan wyniki badań przeprowadzonych wiele lat temu w Stanach. Otóż przeszedł zyciorysy kilku tysięcy ludzi, od młodości aż do śmierci. Co parę lat prowadzone były wywiady, a wyniki skrupulatnie notowano. Oczywiście tak ogromny projekt owocował wieloma rezultatami. Jednym z nich było zdumiewające odkrycie, że większość ludzi u zmiernych swojego życia była z niego zadowolona. Natomiast ci niezadowoleni byli zwykłe inteligentni, myślący, tacy jak pan.

– A więc widzi pan, mamy jakiś punkt stychny.



Alek Silber

fot. SP

– Okazuje się, że tak. Człowiek ciągle się uczy, a przecież psycholog to też człowiek, chociaż czasami w to powątpiewam. Dobrze, proszę mówić.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć, bo wbrew pozorom jestem do tej rozmowy kompletnie nieprzygotowany. Przepraszam za niedyskretne pytanie: czy jeździ pan na nartach?

– Nie, nie lubię zimna.

– Tak przypuszczałem, ale to nie ma znaczenia. W młodości narty były moją pasją, a kiedy stawałem na alpejskim wierzchołku, powalał mnie widok niekończących się szczytów, jakby sięgały końca świata. Białe, majestatyczne posągi na tle klarownego błękitu, coś nieprawdopodobnego. Przyczyną mojego euforycznego odczucia był ogrom piękna, którego nie potrafiłem ogarnąć. Obraz ten zniewalał zmysły, zapierał mi dech. Dzisiaj też jestem powalony widokiem, którego nie potrafię ogarnąć. Tym razem nie jest to jednak piękno, a kompleksowość świata i życia. Widzi pan, tyle lat żyję i coraz mniej rozumiem.

– Niech pan nie będzie taki skromny. A może jest tu odrobina kokieterii?

– Przysięgam, nie przyszedłem tutaj po komplementy. Znam siebie na tyle, że chyba mam trzeźwy osąd swojej osoby. Kiedyś oglądałem wspaniały serial francuski o psychologu, jego pacjentach i ich losach. We wszystkich przypadkach problemy miały swoje źródło w dzieciństwie: a to despotyczny ojciec, a to molestowanie przez wujka, traumatyczne przeżycie i tak dalej. U mnie chyba też należy szukać przyczyn w dzieciństwie, ale nie w jakichś okropnych przeżyciach, a wręcz przeciwnie – w pewnym ładzie i miłym porządku.

– Intryguje mnie pan.

– Czy pamięta pan lekcje geometrii? Mam na myśli tę wczesną, euklidesową.

– Nie bardzo, ale to nie szkodzi, proszę kontynuować.

– Otóż miałem wspaniałą nauczycielkę matematyki, nazywała się Makomaska. Była już siwa, drobna, niepozorna, ale kiedy odkrywała przed klasą arkana geometrii, jej postać urastała do rangi bogini. Wchodziła do klasy z dużą drewnianą ekierką i ogromnym cyrklelem z białą kredą na końcu. Piękno jej wykładów polegało na tym, że każda formuła była udowodniana i to na naszych oczach. Krok po kroku z podstawowych aksjomatów i logiki wynikał nowy rezultat. Na przykład w ten sposób odkryliśmy, że suma kątów trójkąta wynosi sto osiemdziesiąt stopni. Wyprowadzenie każdego dowodu kończyło się dużymi literami: CBDU – „co było do udowodnienia”. Pani Makomaska stawała wtedy z boku i z dumą patrzyła na swój wywód na tablicy, a my dzieliliśmy jej radość.

– To bardzo ciekawe, ale nie bardzo rozumiem, do czego zmierza.

– Zaraz się wszystko wyjaśni. Ten porządek, ta ścisła logika, dwa plus dwa równa się cztery, to wszystko zapadło mi w pamięć i ruszałem w życie z mocnym przekonaniem, że cały świat jest tak ułożony, obliczalny, przewidywalny. Potem w liceum, na studiach wierzyłem, że gdybyśmy wiedzieli wszystko o monecie, o sposobie jej rzucania, o oporze powietrza i setce innych czynników, moglibyśmy dokładnie przewidzieć, czy wynikiem rzutu będzie orzeł czy reszka. Krótko mówiąc, dla mnie wszechświat był całkowicie określony, tylko nie znaliśmy wielu elementów jego formuły. W moim uporządkowanym świecie mieścili się również i ludzie. Byli dobrzy i źli, inteligentni i głupi, prawi i nieuczciwi. Jednym słowem, widziałem uproszczony, a tym samym niedokładny obraz świata. Wychowany na euklidesowej perfekcji wierzyłem, że słowo „przyjaźń” pisane jest przez duże P, a „miłość” przez duże M. Wiadomo, że idealizm jest cechą młodości, ale pani Makomaska tę cechę jeszcze we mnie wzmocniła. Jak ustaliliśmy, osiemdziesiąt to dostojna liczba. Patrząc na swoje życie z boku, niczym postronny widz. Hen, na początku widzę dzieciństwo, beztroskę, zabawy, pierwszy pocałunek, rozpacz, kiedy „ukołochana” zwróciła mi moje zdjęcie i był „koniec”. Potem młodość, „trudna i chmurna”, chociaż bywały wysokie radości. Wiek dojrzały, i tak dalej. I do czego to wszystko prowadzi? Jaki jest w tym sens?

– A gdzie jest napisane, że nasze życie ma mieć sens? Oczywiście, chciałoby się w to wierzyć. Między innymi religia spełnia to zadanie. Może niech pan zacznie wierzyć w Boga?

– Tu też jest problem. Bo jak uwierzyć w Jego nieskończoną dobroć, skoro tyle jest w świecie zła i cierpienia. A przecież gdyby chciał ludzkiego dobra, to mógł stworzyć pogodny świat. Ale wtedy byłby ludziom niepotrzebny. Trudno się z tym pogodzić.

– A cóż nam innego pozostaje? Jedynie pozytywne myślenie może nas uratować przed szaleństwem. Zamiast mówić, że „i tak w końcu umrę”, należy się cieszyć, że dana nam była szansa pożyć.

Zamiast pogrążyć się w troskach – cieszyć się słońcem, każdym kwiatkiem, motylem czy burzą.

– Widzi pan, co mi zrobiła pani Makomaska: CBDU – „co było do udowodnienia”. Każdy etap dowodu posiadał ścisły, logiczny sens. Bardzo lubiłem naszą matematyczkę, wszyscy ją lubiliśmy i dobrze się czuliśmy w jej ułożonym i logicznym świecie. Ona pewnie nie zdawała sobie sprawy, że niechcący, bezwiednie poddaje nas pewnej indoktrynacji. A nie muszę panu mówić, jak głęboko zapadają koncepcje wpojone w młode, chłonne umysły. Aż tu w pewnym momencie następuje konfrontacja z życiem i nagle geometria jest nieeuklidesowa i dwa plus dwa nie musi się równać cztery. No a co dopiero ludzie? Euklides nie zajmował się ludźmi. Miałem przyjaciela, znaleźliśmy się od dziecka. Razem dojrzewaliśmy, stopniowo krocząc przez dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały, aż do starości. Ale nie tylko to nas łączyło. Byliśmy niejako ulepieni z tej samej gliny: romantyczni, idealistyczni, wrażliwi na piękno w każdej jego postaci: w przyrodzie, muzyce, sztuce. Jacek pięknie recytował sonety Szekspira. Leżąc na złotych liściach w lesie, patrzyliśmy w niebo na odlatujące żurawie. Bez słowa. Bo potrafiliśmy razem mówić i milczeć. Potem rozdzielił nas los, ale tylko fizycznie, nie naruszając naszej spójni. Nadal cieszyliśmy się teatrem, kinem i zwykłą rozmową przyjaciół. Mijały lata, pojawiały się dyplomy, żony, dzieci i ta przekłeta dojrzałość. Mam na myśli konfrontację z prozą codzienności. Nic tak nie zabija ducha jak rachunki za gaz, cieknący kran czy szorowanie piekarnika. Nie wiem, czy to ta rzeczywistość, czy gwiazdy, czy też inne лихо zaczęły podważać naszą więź, bo stopniowo dystans fizyczny zaczął się rozszerzać na dystans duchowy. Nasze zainteresowania zaczęły się oddalać niczym rozjazd torów kolejowych, a spotkania, ciągle serdeczne, coraz bardziej ograniczały się tylko do... serdeczności. Czy uwierzy pan, że dzisiaj Jacek nawet nie odpowiada na moje listy? Nie potrafię tego pojąć, przyjaźń licząca tyle lat nagle pryska jak bańka mydlana. Oczywiście, ludzie się zmieniają, my się zmieniamy, ale są granice. Co innego miłość – to skomplikowana i często krucha relacja – ale przyjaźń? Takich przykładów jest wiele. Na przykład Sylwia: dzisiaj już babcia, siwa, ale ciągle sprawna. Zgorzkniała, cyniczna, sarkastyczna z dodatkiem kamuflowanej zazdrości. Wiadomo, są tacy ludzie, ale ona? Pamiętam ją jako młodą dziewczynę, pełną wdzięku, radosną, zawsze gotową do imprezy, do tańców, do wypitki i do wygłupu. Czy życie może aż tak zmienić człowieka?

– Sam pan widzi, że może.

– Dlaczego w większości przypadków jest to zmiana na gorsze? Dlaczego nie możemy szlachetnie, stawać się lepsi, bardziej wyrozumiali, tolerancyjni, otwarci na świat?

– Są takie przypadki.

– Wiem, zawsze są wyjątki.

(...)

(fragment z najnowszej książki „Ułamek sekundy”)



Promocja książki „Ułamek sekundy”

W dniu 5 czerwca w Klubie Księgarza przy Rynku Starego Miasta w Warszawie odbyło się spotkanie poświęcone promocji najnowszej książki pt. Ułamek sekundy, napisanej przez naszego redakcyjnego kolegę Alka Silbera z Australii. Książkę przedstawił Tadeusz Nowakowski, a fragmenty czytała Jolanta Żółkowska i Piotr Golla, który także grał na pianinie. Na spotkanie przybyło liczne grono przyjaciół autora, również z Australii oraz całkiem sporo przyjaciół Sceny Polskiej, których z pewnością nasi czytelnicy rozpoznają na zdjęciach. Alek Silber pracował i mieszkał w Holandii zaledwie dwa lata, bo większość życia mieszka z rodziną w Australii. Wyjechał z Polski w wieku zaledwie 16 lat. Stąd podziw i szacunek dla jego znajomości pięknej polszczyzny. I za to należy się pisarzowi wielki szacunek. Opowiadania Alka Silbera czyta się z wielką przyjemnością, nie tylko ze względu na treść, ale właśnie język, czyta się jakby się słuchało autora, który zwraca się właśnie do mnie.

Ze Sceną Polską Alek Silber współpracuje od 1994 roku. Już wówczas był autorem kilku książek, a do dzisiaj wydał już kilkanaście tytułów. Fragmenty wielu z nich publikowaliśmy na łamach naszego pisma.

Gratulujemy autorowi i czekamy na dalsze opowiadania

REDAKCJA

RELACJA ZE SPOTKANIA: YOUTUBE UŁAMEK SEKUNDY SPOTKANIE



Okazja do spotkania!

fol. SP

Festiwal filmowy ujęty w cudzysłów



MARIA MIŚ

Nie bardzo wiem, jak zacząć. Gdy jednak nie wie się, co pisać, najrozsądniej napisać o tym, że się nie wie, o czym pisać. To też właśnie czynię. Pani Zofia powiedziała, że mam pisać od siebie, z serca – ale co to znaczy pisać z serca? To znaczy: pisać krwawie. Wyrwać słowom ich znaczenia i samym językiem mówić więcej. Samą formą mówić więcej. Z serca, to znaczy szczerze. To znaczy: odsłonić się, odkryć, pokazać w całości. (To, zdaje się, wymaga jednak odwagi). Pisać z serca mogłoby też oznaczać rozmach. Mogłoby oznaczać podążanie za fantazją, prosto tam, dokąd prowadzi mnie myśl. (Nieraz trzeba się zgubić, żeby móc się odnaleźć, czy tak?). To trudny dla mnie temat, bowiem serce chyba mi się wyrwało. Już miesiąc próbuję je zlokalizować i pewne jest tylko to, że uciekło. Mam przypuszczenie (graniczące z pewnością), że zostało we Wrześni.

Większość moich znajomych nie rozumie zupełnie, co jest dla mnie tak fascynujące w siedzeniu w sali kinowej. Ale! Większość moich znajomych nigdy nie była na festiwalu filmowym. Kto był, ten wie, że festiwal to właśnie jedna wielka „posiadówka”. Mówi się, że Polacy to naród spacerowiczów. Nie uczymy się, tylko idziemy do szkoły. Bywamy w związkach, ale głównie ze sobą chodzimy. Czy wierzymy w Boga, to już sprawa indywidualna, ale z pewnością co niedziela dreptamy do kościoła. Tak to jest – z festiwalami podobnie. Obejrzałam na Prowincjonalnych kilka filmów, ale głównym moim zajęciem było raczej siedzenie w kinie.

Ach, ale cóż to znaczy siedzieć w kinie? Gdy rozmowy cichną, a po sali unosi się jedynie cichy, gasnący szmer w pośpiechu dokańczanych zdań. Oto bowiem zgasły światła – i zupełnie odwrotnie niż w teatrze lub na koncercie, w kinie gaśnięcie światła oznacza dopiero początek spektaklu. Cisza przed burzą. Tak, to jest to. Wówczas ja, jak i każdy współczesny kinofil, zanurzamy się w ciemności i w ciszy. Na ekranie coś się rodzi – jakiegoś wielkiego dzieła małego

twórcy albo zapomniany film klasyka. I dopiero wtedy faktycznie wiem, że jestem.

Na festiwale filmowe (na „Prowincjonalia” oraz Festiwal Filmów Satyrycznych „Pysza-dło”) jeżdżę od kilku lat w roli członka redakcji gazety festiwalowej. Choć może brzmi to całkiem imponująco (redakcja gazety festiwalowej), to w myśl teorii Susan Sontag ujęłabym to w kampsowy cudzysłów („redakcja gazety festiwalowej”). U Sontag cudzysłów zdejmował z pojęć zawstydzenie, u mnie raczej spuszcza powietrze z nadmufanej formuły. Ta nasza „redakcja gazety festiwalowej” w praktyce sprowadza się bowiem głównie do niewyspania się. Koszt naszej pracy to kawa lub kilka puszek energetyków. Nocami piszemy teksty, które ludzie (nieraz bardzo ważni albo bardzo sławni) czytają kolejnego dnia. Ach, gdyby oni wiedzieli, że możemy pisać lepiej, dokładniej, swobodniej, pełniej... Ale czytają tylko te niewyspane teksty, których kondycja (co niestety da się zauważyć) spada z nocy na noc.

Proszę wybaczyć, że tak bez skrępowań zwierzam się z moich quasi-reporterskich „sekretów”. Znow cudzysłów, bowiem w tym, co piszę, nie ma nic sekretnego. Nasze opuchnięte od niewyspania twarze mówią same za siebie i festiwalowicze unoszą spojrzenia znad tych naszych „gazet” i szepczą jeden do drugiego: O! Patrz, tamci się chyba nie wyspali. Raz nawet słyszałam (ciepło mi się zrobiło na sercu – wtedy jeszcze serce było ze mną), jak festiwalowiczka namawiała znajomych do przeczytania naszej gazety. Mówiła: Ta młodzież nie śpi nocami, piszą do rana, a wy nawet nie przeczytacie?! Znajomi przytaknęli i zapewnili, że przeczytają. (Ciekawe, czy przeczytali...).



Reżyser Artur Więcek „Baron” i dyrektor Festiwalu Rafał Górecki

foto.MM



Miałam pisać o festiwalu filmowym Prowincjonalia, a póki co piszę raczej o „pisaniu” na Prowincjonalnych. Z perspektywy czasu wszystko się rozmywa. Minął tylko miesiąc, a już tracę zdolność odróżnienia, czy jakieś zdarzenie miało miejsce w tym roku, czy w zeszłym, czy jeszcze dawniej. Jeździmy na festiwalach w stałym składzie i wspominając je mam przed oczami twarze i sytuacje, ale nie da się ich przypasować do dat albo miejsc. To dziwne – ale jednocześnie: tak, to jest to. W jednej starej piosence, którą znam z harcerstwa, był taki fragment: nie wiesz czemu pamiętasz motyla w słońcu, a nie to, jak wyglądały dni – i to jest właśnie „to”.

Kronika w kamieniu, powieść albańskiego pisarza Ismaila Kadarego



MAREK JEZIORSKI

Wydawnictwo Akademickim Sedno ukazała się powieść wybitnego albańskiego pisarza Ismaila Kadarego *Kronika w kamieniu*, w przekładzie z języka albańskiego Marka Jeziorskiego, zaprzyjżnionego od trzydziestu lat ze Sceną Polską. Fragmenty *Słowa od Thumacza*:

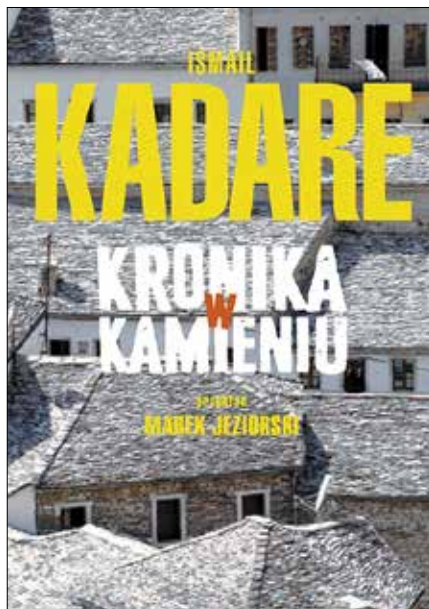
Ismail Kadare urodził się w 1936 r. na południu Albanii, w Gjirokastrze, miście, do którego wielokrotnie powracał w swojej twórczości. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu wydana w 1963 r. powieść *General martwej armii*, przejmująco opowiedziana historia o podjętych przez włoskiego generała poszukiwaniach szczątków żołnierzy armii Mussoliniego, którzy zginęli na terenie Albanii podczas włoskiej okupacji tego kraju w latach 1939-1943. Wydana we Francji, została sfilmowana w 1983 r. z głównymi rolami Marcella Mastroianniego i Michela Piccoli. Pisarz jest laureatem wielu prestiżowych nagród literackich, w tym *Man Booker International Prize* (2005 r.), Nagrody Księcia Asturii (2009 r.), Nagrody Jerozolimskiej (2015 r.), południowokoreańskiej Nagrody Pak Kyongui (2019 r.) i *Neustadt International Prize* w USA (2020 r.). Jego utwory zostały przetłumaczone na wiele języków, od lat jest wymieniany w gronie potencjalnych laureatów literackiego Nobla.

Wydana w 1971 r. *Kronika w kamieniu* zajmuje szczególne miejsce w dorobku pisarza. Gjirokastra, gdzie dorastał Kadare, kamienne miasto, w którym czasem przygasają, to znowu budzą się z niezwykłą siłą emocje i napiętności jego mieszkańców, jest właściwym bohaterem powieści. Autor dostrzegł w Gjirokastrze spersonifikowane piękno i dramatyzm życia. Miasto, nie nazwane wprost w powieści, odczytuje swoiście herbertowski „kamienny sens” wedle swoich prastarych zwyczajów, a Kadare jest jego doskonałym kronikarzem.

Opowieść o kamiennym mieście i jego mieszkańcach, historia widziana oczami kilkulatniego chłopca, *alter ego* autora, jest daleka od klasycznej wspomnieniowej po-

wieści autobiograficznej. Wydarzenia w niej opisane, w głównych rozdziałach, w krótkich pisanych kursywą fragmentach wspomnień oraz w częściach miejskiej kroniki przypominających porozrywane kartki zniszczonego dokumentu, dzieją się na przestrzeni kilku wojennych lat 1940-1943 w Gjirokastrze, mieście przeżywającym, w wyniku zmieniających się losów na froncie bałkańskim, okupację włoską, grecką i niemiecką.

Kronika w kamieniu jest napisana po mistrzowsku; Kadare odważnie czerpie z bogactwa języka albańskiego, wykazując się jednocześnie nieprzeciętną inwencją sło-



wotwórczą. Powieść jest pełna poezji, co nie dziwi, jako że autor, znany głównie z twórczości prozatorskiej, jest także poetą. Kadare jest mistrzem subtelnej groteski i tajemnicy. Pisarz konsekwentnie korzysta z poetyckiej mocy metafory, wieloznacznej aluzji.

Kolejne światowe wydania powieści zostały docenione przez krytyków. Niektórzy wskazywali na pewne podobieństwa z prozą Gabriela Garcíi Márqueza, chociaż, jak skrupulatnie dostrzegł John Updike (w recenzji opublikowanej w „The New Yorker” 14 marca 1988 r.), Gjirokastra wydaje się nieco mniej zanurzona w surrealizmie niż Macondo Márqueza.

Realizm magiczny Kadarego jest oryginalny, mocno zakorzeniony w zagmatwanej historii rodzinnego miasta i jego zwyczajach, we wspomnieniach pisarza z dzieciństwa. Niewytłumaczalne i budzące strach zdarzenia i zjawiska, irracjonalne zachowania i reakcje pojawiają się nie raz na kartach powieści.

Pełne tajemnic jest samo miasto, jego ulice o dziwnych nazwach i ich kamienny bruk, kominy, okapy stojących naprzeciw siebie domów, raz zbliżające się do siebie, to znowu oddalające się, jak ludzie. Odgłosy i barwy miasta to jego język. Mały chłopiec stara się go zrozumieć, nieprzerwanie z miastem rozmawia. Niezwykły jest świat bohatera, obserwującego toczące się wokół życie przez szkło z rozbitych okularów, przez krople deszczu i mgłę, dziurę w podłodze na strychu. Chłopiec rozwija się i kształtuje w warunkach wojny, strachu, zdrady, ucieczki, śmierci, znajdując ratunek i inspirację w swojej nieograniczonej wyobraźni. Dorasta, stykając się ze światem dorosłych poprzez podsłuchane fragmenty rozmów o sprawach dla niego niezrozumiałych i tajemniczych. Odczuwa pierwsze emocje wywołane czarem i urodą spotykanych w sąsiedztwie młodych kobiet.

Kronika w kamieniu jest przykładem, jak literatura wysoka była w stanie stawić czoło i wygrać z ograniczeniami cenzury komunistycznego państwa, nie tracąc przy tym walorów artystycznych i nie uciekając od trudnych tematów nurtujących zwykłych ludzi w przełomowych chwilach ich życia. Historia, odciskająca się dosłownie i w przenośni podkutymi żołnierskimi butami na losie mieszkańców kamiennego miasta, zagarnia także małego chłopca. Znalezione w szufladzie szkło starych okularów pozwala mu widzieć ją jakby w krzywym zwierciadle, co zapewnia dystans, mający swoją metaforyczną wymowę w kontekście czasu i miejsca powstania dzieła. Marzenia chłopca, we śnie i na jawie, groteska i żart, przewijające się na kartach książki w miejskich opowieściach, nie są w stanie zapobiec tragedii miasta, tej codziennej i monotonnej, jak codzienny i monotony był terror komunistycznego dyktatora Envera Hoxhy, ale także tej nagłej i bolesnej, spadającej na miasto wraz z pociskami niemieckich czołgów. Ono jednak przetrwało; jak pisze Ismail Kadare w początkowych akapitach dzieła, nie trzymały się go „...obce wielokolorowe sztandary, które pojawiały się nad jego basztami i znikaly, tak tymczasowe i niebyłe, jak wieczne i trwałe jawiło się samo miasto.”

Od redakcji:

Marek Jeziorski spędził sześć lat w Niderlandach w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku jako doradca Maxa van der Stoela, Wysokiego Komisarza OBWE ds. Mniejszości Narodowych. W latach 2012-2016 był Ambasadorem Polski w Albanii.

„Dzień Króla” po Wielkopolsku



W Polsce, 27 kwietnia, obchodzi się „Dzień Króla” (urodziny panującego Willema Alexandra) podobnie jak w Niderlandach. Na pomarańczowo czyli w kolorach dynastii Orańskiej (Oranje). Święto Koningsdag – Dzień Króla – Holendrzy świętują już od 1885 roku. Szerzej pisaliśmy o tym w ub. numerze kwartalnika.

Poza uroczystymi obchodami organizowanymi przez Ambasadę Królestwa Niderlandów w Warszawie, obchodzą je również mniejsze grupy mieszkających w Polsce Holendrów i instytucje współpracujące z Niderlandami. Po raz pierwszy, mająca swoją siedzibę na terenach dawnych osadników ołederskich Fundacja „hOlendry” z Nowej Róży, dawniej Różańskie Ołędry





dzisk, organizatorzy życia kulturalnego z okolic i z Poznania, Holendrzy z Polski i z Bredy, mieszkańcy sąsiednich wiosek, harcerze i seniorzy...po prostu przyjaciele tego pięknego zakątka i Fundacji „hOlendry”, aby przeżyć wspólnie holenderski Dzień Króla. Wiek uczestników? Od kilku miesięcy do dziewięćdziesiątki! Można razem?! Tak, można!!!

Gospodarze przygotowali odpowiedni wystrój, królowały pomarańczowe dekoracje i holenderskie przysmaki, nie mogło też zabraknąć królewskiej pomarańczówki z gorzkich pomarańczy z królewskich ogrodów „Oranje Bitter”. Ale prawdziwy klimat stworzyli sami Goście. W zaproszeniu widniała prośba o element ubrania w kolorze pomarańczowym. I pozytywne zaskoczenie! Od pomarańczowej muszki po cały kombinezon, fantazja, twórcza wyobraźnia i poczucie humoru. To był strzał w dziesiątkę!

Dziękujemy Wszystkim i zapraszamy za rok, 27 kwietnia 2024!

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

postanowiła zaprosić gości z bliska i z daleka, aby pokazać jak bawi się w tym dniu Holandia. I udało się!

Goście dopisali, przyjechali zaproszeni włodarze z powiatu nowotomyskiego i miasta Nowy Tomysł, goście z Nadleśnictwa Gro-

In memoriam

Petrus Cornelis Koppert Król Życia – „levensgenieter”

Wśród gości i współorganizatorów był przyjaciel fundacji „hOlendry” Piet Koppert. Pogodny, wesoły i niezwykle życzliwy... Dziesięć dni później dotarła do nas wiadomość o Jego nagłej śmierci. Będzie nam Ciebie Piet bardzo brakowało. Byłeś dla nas wzorem pozytywnego nastawienia do ludzi i do życia.

FUNDACJA „hOLENDRY”



„Rozmowy przypadkowe” nieprzypadkowo pojechały na Podlasie



JOANNA DUDA MUROWSKI

Droga była prosta, ale długa, bo z Oberhausen, w zachodnich Niemczech, do Bielska Podlaskiego we wschodniej Polsce.

Bielsk Podlaski znany jest m. in. z organizowania Festiwalu Sztuk Komedii Teatrów Amatorskich DECHA, a my – Teatr Poezjada, na przełomie kwietnia i maja, gnaliśmy tam z naszą najnowszą sztuką, wcale nie zabawną.

Mijaliśmy żółte, po błękit nieba, płachty pól rzepakowych. Pogoda była słoneczna i jaskrawość krajobrazów skutecznie przepędzała zmęczenia. Poza tym spieszyliśmy, by jak najszybciej, w pierwszym polskim zajeździe zjeść pierogi, które, jak się okazało, teraz przemianowano z „ruskich”, na „ukraińskie”. W ogóle spieszyliśmy do Polski, bo tam przecież tak swojsko.

Wieczorem dotarliśmy do celu, a gospodarze okazali się tak gościnni, że „wieczorek zapoznawczy” trwał do nocy.

Moi aktorzy pierwszy raz byli na Podlasiu i zachłannie podziwiali rozległe, bogate łąki, mnogość bocianów, charakterystyczną dla tego regionu architekturę, przezroczystość powietrza, serdeczność, różnokulturowość i wieloreligijność mieszkańców.

Na rozdrożach można było spotkać stojący obok katolickiego, krzyż prawosławny. Mijaliśmy kościoły i cerkwie, i wiedzieliśmy, że niedaleko są też synagogi i meczety Tatarów polskich.

A właśnie noclegu, w oryginalnym, drewnianym domu „mieszkańskim” udzielili nam białoruscy Polacy.

Byliśmy w gorącym sercu ich kultury. Słuchaliśmy historii ich przodków, wiegłosowych śpiewów zespołu Żemerwa.

Podziwialiśmy ich tańce folklorystyczne, podglądaliśmy ich życie w pięknej harmonii tradycji i współczesności.

Świadomość, że przybyliśmy do miejsca słynącego z festiwalu teatrów wyłącz-

nie komediowych i okolic, gdzie urodził się Zenon Martyniuk, wzbudzała w nas spore obawy, jak zostaniemy przyjęci, tym bardziej, że nasza sztuka pt. „Rozmowy przypadkowe” jest liryczną impresją, na otaczający świat.

Tak naprawdę, to opowieść o samotności dwojga ludzi przypadkowo spotykających się, na jakiejś ławce, w jakimś parku. W dodatku akcja toczy się w niedalekiej przeszłości, bo w okresie od wiosny 2021 r. do wiosny 2022 r., gdy w tle panowała pandemia i wybuchła wojna w Ukrainie.

A my byliśmy przecież tuż przy granicy z Białorusią, u białoruskich Polaków!

Jednak po spektaklu, na który przyszło dużo młodych ludzi i który rozegrał się w ciszy i skupieniu, rozmawialiśmy z publicznością i byliśmy prawdziwie szczęśliwi, że zauważono wielopłaszczyznowość tekstu, że sztuka się podobała.

W krainie, gdzie serca i domy są otwarte, otwarte też są ramiona, na przytulenie kultury.

Tam właśnie doświadczyliśmy, że tolerancja, gościnność, szacunek dla tradycji, jeszcze istnieją!

Do takich miejsc, droga jest prosta, choć czasami długa.

A Teatr Poezjada nieprzypadkowo, z „Rozmowami przypadkowymi” tam trafił.

Teatr Poezjada powstał w 2016 r., w Oberhausen, w Niemczech. Pierwszą sztuką były „Trzy ziarna”, ziarno wiosny, Wielkanocy i miłości. Od 2018 r. (z prawie dwuletnią przerwą, spowodowaną

pandemią), wystawiamy „Tandem, czyli miłość rozebraną w dwóch aktach”, a od zeszłego roku, najnowszą naszą sztukę: „Rozmowy przypadkowe”. Grają w nim emigranci, na stałe mieszkający w Niemczech.

Wszystkie teksty, również powstały tutaj, a pisane były w języku polskim i z potrzeby pielęgnowania naszej ojczyściej mowy, oraz i to było najmocniejszym impulsem, pragnienia rozpowszechniania poezji, bowiem scenariusz „Tandemu”, to zbudowane dialogi z 70 wierszy poetów polonijnych.

Mieliśmy już sporo wystąpień w Niemczech (Oberhausen, Kolonia, Frankfurt, Solingen...), Belgii

i Polsce, na zamku w Kliczkowie, w Bielsku Podlaskim. W 2021 roku Teatr Poezjada, ze spektaklem „Tandem”, w którym poezją przedstawiony był cały życiorys miłości, wziął udział w X Amatorskim Ruchu Artystycznym FARA, w Chorzwie i otrzymał nagrodę specjalną.

W tym roku, na FAREJ jedziemy, z najnowszą sztuką pt. „Rozmowy przypadkowe”, która powstała, jako impresja na otaczającą rzeczywistość, kiedy w mediach dominowała pandemia i wojna na Ukrainie.

Te i inne problemy poruszają: on i ona, spotykając się przypadkowo, na jakiejś ławce, w jakimś parku.

Tak więc „ona”, „on”, statysta i ja bierzemy głęboki wdech i ... jedziemy na Festiwal, przed oblicze Jury!

Trzymajcie kciuki!



„Dyktatura ignorantów”



ANNA FRANÇOIS-KOS

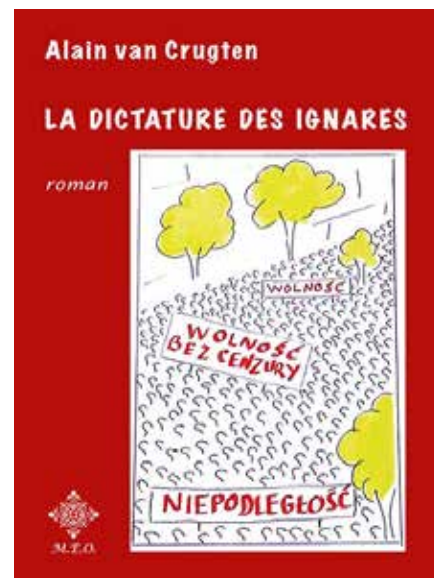
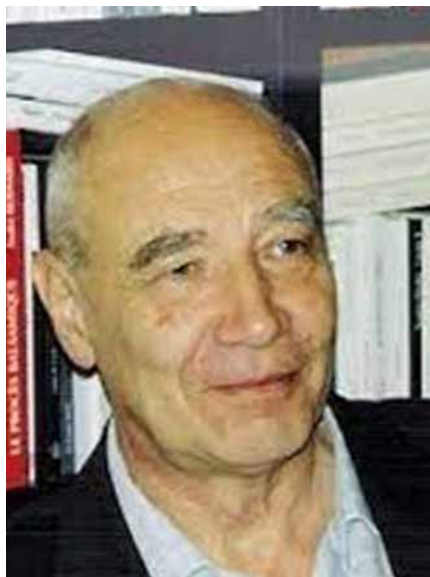
Mam nadzieję, a właściwie przekonana jestem, że najnowsza powieść Alain Van Crugten zatytułowana „Dyktatura ignorantów” wkrótce doczeka się tłumaczenia na język polski. Powieść ciekawa, wartościowa, bo przedstawia nam rok 68 w Polsce widziany oczyma obserwatora – cudzoziemca, który próbuje zrozumieć zawiłości życia codziennego w ówczesnej Polsce. Interesująca nie tylko dla Polaków, ale także dla czytelnika zagranicznego, który ma zupełnie inne wyobrażenie o roku 1968. Alain Van Crugten to autor jeszcze zbyt mało znany w Polsce, a przecież jemu zawdzięczamy tłumaczenia na język francuski wszystkich niemal utworów Witkacego, twórczości Brunona Schulza, Tadeusza Różewicza, Sławomira Mrożka, Stanisława Grochowiaka czy Mariana Pankowskiego.

Nie było żadnego konkretnego powodu, dla którego ten znakomity tłumacz, powieściopisarz, autor sztuk teatralnych i krytyk literacki zainteresował się językiem polskim. Zresztą ma w swoim dorobku także tłumaczenia literatury angielskiej, czeskiej, rosyjskiej i niderlandzkiej. W Belgii zasłynął przede wszystkim dzięki tłumaczeniu powieści „Cały smutek Belgii” Hugo Claus. Studiował germanistykę, ale podczas służby wojskowej zetknął się z językami słowiańskimi, które tak mu się spodobały, że na ULB w Brukseli zaczął studiować na slawistyce, gdzie wybrał język rosyjski i polski. Tam zetknął się ze znakomitymi slawistami, w tym z pisarzem Marianem Pankowskim, którego później tłumaczył na język francuski. Po studiach otrzymał stypendium rządu polskiego i spędził dwa lata w Warszawie, od 1966 roku do 1968. To właśnie ten okres stał się inspiracją do napisania powieści „La dictature des ignares”. I jeśli nawet główny bohater tej powieści Jean jest Francuzem z Prowansji to w powieści odnajdujemy wiele elementów autobiograficznych związanych z życiem autora. Podobnie jak Jean, Alain Van Crugten zaczął swoją karierę tłumacza od Witkacego. – Gdy przyjechałem do Polski, powiedziałem mojemu pro-

fesorowi na Uniwersytecie Warszawskim, że interesuje mnie groteska. A on spytał, czy chcę zajmować się literaturą współczesną czy dawną. Ja wtedy jeszcze nie wiedziałem, ale on odparł na to, że jeśli interesuje mnie współczesna, to zostaję u niego, a jeśli dawna – to u jego kolegi. No więc wybrałem współczesną – mówi van Crugten” w jednym z wywiadów. Te słowa niemal dosłownie znalazły się w powieści. Tak samo jak Van Crugtenowi profesor kazał rozpocząć studia od przeczytania wszystkich utworów Witkacego, te same zdania usłyszał powieściowy Jean. To już w Warszawie van Crugten zaczął pisać pracę doktorską o Witkacym, którą ukończył w Brukseli. Potem przejął katedrę slawistyki po Marianie Pankowskim i został profesorem literatury europejskiej. Na brukselskim ULB wykładał literaturę polską i rosyjską. Jednocześnie tłumaczył i pisał. To przekłady Witkacego, jak przyznaje, były dla niego największym wyzwaniem w pracy tłumacza. Notka wydawnicza na okładce powieści mówi nam, że bohater „Dyktatury ignorantów” Jean, młody Prowansalczyk, absolutnie polonistyką na Wydziale Aix-en-Provence, zapisuje się na Uniwersytet Warszawski, by napisać pracę magisterską z literatury polskiej, a także uciec przed zbyt kapryśną dziewczyną, która usilnie zabiega o jego względy. Otrzymał dwuletnie stypendium (powrót do szkoły 1966 – zakończenie roku szkolnego 1968) przyznawane przez rząd polski. W Warszawie poznaje kilku znajomych, w tym siatkarzy, sport, który uprawiał już w Aix, Ruth Kowalską – sąsiadkę, aktorkę warszawskiego teatru żydowskiego oraz Adelę, młodą dziewczynę, w której szybko się zakochuje. Miłość, która nie doczeka się pozytywnego finału, bo komplikuje ją sytuacja polityczna w Polsce. Pewnego wieczoru w teatrze Jean bierze

udział w pierwszej demonstracji podczas wystawiania ocenzonej przez władze sztuki. Chodzi oczywiście o słynne „Dziady” Mickiewicza. Demonstracja przenosi się na uniwersytet, gdzie studenci powstają przeciwko cenzurze i władzy totalitarnej. Chcąc dowiedzieć czegoś więcej, bohater zapuszcza się do dzielnicy uniwersyteckiej, gdzie zostaje pobity i zatrzymany przez ZOMO, popleczników władzy odpowiedzialnych za tłumienie zagrażających totalitarnej rządowi zamieszek. Następnie odkrywa wszystkie perwersje obowiązującego reżimu komunistycznego, niektórzy studenci są wyrzucani z uczelni, przymusowo wcielani do wojska lub zamykani w więzieniach. Posiadacz francuskiego paszportu otrzymuje przewrotną ofertę: kontynuację pobytu i studiów w zamian za informacje o polskich przyjaciółach lub zagranicznych kontaktach.

Jean odkrywa nędzę życia przeciętnego mieszkańca Warszawy równoległe z przywilejami oferowanymi członkom partii, codziennym szpiegowaniem obywateli między sobą, ale także bogactwem kulturowym ówczesnej Polski. Historia rozgrywa się w dwóch okresach: młodości w Aix i początków dojrzałości w Warszawie. W Aix Jean odkrywa przyjaciół, dziewczyny, miłość, rosyjską i polską. W Warszawie odkrywa kraje Wschodu, demokracje ludowe, władzę totalitarną, polityczną perwersję, manipulację tłumami, wykorzystywanie kozłów ofiarnych, gry o władzę, niedobory żywności, teatr, dziewczyny i wyzwoloną seksualność. Polecam książkę wszystkim Polakom, którzy chcą sobie przypomnieć lub poznać atmosferę życia codziennego w tym, jakże znaczącym roku 1968. Także cudzoziemcom, którzy chcieliby poznać realia życia ówczesnej Polski, jakże różne od ich doświadczeń! ■



Rozmowa z Jackiem Kałuckim

Aktorstwo? To jest to!!!

ELŻBIETA PODOLSKA

Aktor teatralny, filmowy i dubbingowy, reżyser, felietonista, kabareciarz oraz autor tekstów i sztuk, a teraz także książki „Sekrety zza kulis”. Zawsze przygotowany i gotowy do działania. Nie ma dla niego rzeczy niemożliwej, najwyżej zajmie mu to trochę więcej czasu. Żartowniś z dystansem do siebie, co dokładnie można wyczytać pomiędzy wersami jego książki – Jacek Kałucki.

ELŻBIETA PODOLSKA: *Urodził się Pan w Wielkopolsce, w Kaliszu i tam zaczęła się Pana przygoda z teatrem w wieku...4 lat. Wcześniej bardzo Pan zaczął. Czy rzeczywiście od razu chciał Pan być aktorem?*

JACEK KAŁUCKI: Oczywiście że nie, ale... strażakiem też nie. W podstawówce pociągały mnie podróże i stwierdziłem, że najlepiej zostać marynarzem. Wtedy można zwiedzić cały świat i jeszcze w dodatku zarobić niezłe pieniądze. W liceum myślałem o prawie. Zawsze wkurzała mnie otaczająca niesprawiedliwość. I to począwszy od drobnych scysji z belframi na poważniejszych problemach skończywszy. I przyszedł rok 1970 kiedy kaliski teatr objęła Izabella Cywińska. Kontakty z Nią, z aktorami, fajne gaduły, uczestniczenie w próbach (jako nielegalny obserwator na drugim balkonie), bankieciki w domu aktora... to wszystko spowodowało, że teatr ogrywał dla mnie... główną rolę. Już wiedziałem, że to jest to!

Potem były studia aktorskie w Krakowie z przerosinami do Warszawy. Już podczas studiów nie tylko grał Pan w przedstawieniach uczelnianych, ale też w filmach i sam pisał scenariusze widowisk. Zawsze ciągnęło Pana do pisania?

– Nie. Ten pociąg do pióra znalazłem trochę później i zawsze wiązało się to z „potrzebą chwili”. W krakowskiej Szkole Teatralnej zmontowałem program pt. „Jazz i poezja” z którym tu i ówdzie występowaliśmy z kolegami dla nielicznie zgromadzonej publiczności. Nie mniej, był to jakiś „zastrzyk” do skromnego stypendium. Później już bardziej na poważnie (także w krakowskiej PWST) stworzyłem spektakl „Z poezji współczesnej – BYĆ”. Przedstawienie zostało zakwalifikowane na Festiwal Szkół Teatralnych w Nowej Rudzie, gdzie zdobyliśmy wyróżnienie. Ale te wszystkie działania bardziej wiązały się z zainteresowaniem reżyserią, pewną wizją teatru poetyckiego. Tak na dobrą sprawę pisać zacząłem



Elżbieta Podolska i Jacek Kałucki

fot. Emilia Staszków

w początkach lat dwutysięcznych, kiedy powstała moja pierwsza sztuka (pokazywana zresztą w Poznaniu w Scenie na Piętrze) pt. „Jakoś to będzie”. Przyszła do mnie przyjaciółka i powiedziała, że potrzebuję sztukę kameralną, mobilną, najlepiej komedię, ale polską, współczesną do śmiechu a nie do rechotu. Spytałem na kiedy? Odpowiedziała, że na... wczoraj. Przekopałem całą swoją bibliotekę i nic nie znalazłem, co odpowiadałoby jej wymogom. Postanowiłem sam napisać sztukę pod pseudonimem Jacek Hempel, żeby ewentualni recenzenci-przyjaciele mieli komfort w wydaniu opinii. I tak się zaczęło. Wcześniej były jakieś próby piosenek dla dzieci, scenariusze... ale to wszystko były jedynie „wprawki”.

Był teatr i różne role, a do tego filmy. Gdyby miał Pan wymienić jedną rolę filmową i jedną teatralną, która była spełnieniem marzeń dla Pana jako aktora?

– Takiej jeszcze nie było. Były zapamiętane, trudne, wymagające wysiłku zarówno fizycznego jak i intelektualnego. Ale żeby była spełnieniem marzeń...?! Kiedy będzie takowa, to obiecuję że zadzwonię do Pani i pierwszą o tym poinformuję. Kiedy aktor uważa że jest spełniony, wtedy powinien zmienić zawód. Znam tylko jednego – jest nim Marek Kondrat, ale tak do końca nie jestem przekonany...

Po wielu latach wrócił Pan do pisania. Z tego, co wiem od dawna znajomi, przyjaciele i rodzina namawiali Pana do napisania wspomnień. Jednak ta książka, to nietypowy zbiór opowieści z Pana życia. To trochę jak przedstawienie kolekcji przez kolekcjonera. Kolekcji wspaniałych znajomości i jeszcze wspanialszych aneg-

dot. Kto lub co przekonało Pana do napisania tej książki?

– To prawda, namowy były. A tak naprawdę „przekonał” mnie przypadek. Kiedy podczas pandemii odcięty byłem – jak wielu z nas, od normalnego życia, spotkań, rozmów, posiadów... czułem się źle, wtedy namówiony zostałem przez córkę do założenia Facebooka. Miałem jakiś pozorny kontakt z przyjaciółmi. Na swojej stronie zamieściłem pierwszy post dotyczący... już nie pamiętam kogo, ale na pewno ważnej postaci polskiej sceny i filmu. Natychmiast posypały się polubienia, telefony i prośby o następne, i następne. Aż w końcu moja przyjaciółka Adrianna Godlewska – Młynarska zadzwoniła i kategorycznie zakomunikowała, że mam usiąść na tyłku i natychmiast, albo jeszcze szybciej napisać większą całość! Nie miałem wyboru – siadłem.

Książkę polyka się, tak dokładnie polyka, bo trudno się od niej oderwać, z ogromną przyjemnością, zaglądając razem z Panem za kulisy filmów, sceny, ale też czasów minionych tych sprzed paru i kilkadziesiąt lat. Spisywał Pan wcześniej te wydarzenia, czy chował je po prostu w pamięci?

– Wiele osób mnie o to pyta. Nigdy niczego nie spisywałem i nie prowadziłem żadnego pamiętnika. Są pewne zdarzenia, które zapisują się w głowie jak na taśmie magnetycznej. Mózg ludzki jest nieodgadniony. Kiedyś zapytałem mojego teścia; jak to jest możliwe, że nie pamięta co wczoraj jadł na obiad, a pamięta z detalami fakty, które miały miejsce pięćdziesiąt lat temu? Odpowiedział mi z uśmiechem, że kiedy dojdę do jego wieku, to sam to zrozumie – miał rację!

Zafascynowała mnie opowieść o Irenie Kwiatkowskiej i siedzeniu na trawie. Tego

się po niej nie spodziewałam. W książce jest wiele takich niespodziewanych historii.

Pani Irenka wciąż zaskakiwała mnie i jak się okazuje Panią również! Na tym właśnie polegała jej indywidualność i niepowtarzalność. Była osobą nie do podrobienia! Potrafiła czytać książkę telefoniczną, albo liczyć do stu w taki sposób, że za każdym razem umierałam ze śmiechu! Sam się dziwie, że jeszcze żyje i rozmawiam dzisiaj z Panią(?)

Przy okazji dowiadujemy się także nieco o Pana życiu. Opowiada Pan o tym, jakby przy okazji: odejście z teatru, włoska przygoda, życie wolnego strzelca, które łatwe dla aktora nie jest, organizacja imprez...

– Bardzo intrygujące pytanie, ale nie odpowiem Pani na nie (nawet do rymu)! Wszystko jest opisane w mojej książce „Sekrety zza kulis” i nie odbieramy potencjalnym czytelnikom frajdy z uchylania poszczególnych kulis. Ale jak już jesteśmy przy tym, to powiem z całym naciskiem, że nie jest to moja biografia. Są to – jak napisał Maciej Wojtyszko w przed-

mowie: „... wspomnienia, które zmieniają się w anegdoty i anegdoty, które są wspomnieniami”, przy zachowaniu chronologii.

Wspomina Pan w książce o serialu „Barwyszczęścia” i podejściu ludzi do roli Krzysztofa Jaworskiego. Widzowie utożsamiają Pana z Jaworskim i jego „wybrykami”?

– Oj tak, bardzo często. Na szczęście ostatnio Jaworski przechodzi pozytywną metamorfozę i nie muszę aż tak bardzo wstydzić się za swoją postać. Na szczęście w większości, to są miłe „zaczepki” a nawet zdarzają się tacy, którzy chwalą postawę Jaworskiego na osiedlu, ale z pewnością nie jest to moja grupa krwi: „Panie Krzysiu, trza troszku za mordę wziąć to społeczeństwo, bo inaczej kurza twarz porzundku w tym kraju nie będzie!”

Nie mogę o to nie zapytać. Czy będzie kolejny tom anegdot?

– Piotrek Fronczewski zadzwonił z podobnym pytaniem czy będą „Strofy 2”. Odpowiedziałem mu, że jeśli nakręca „Rambo 62”

to... będą. A mówiąc serio – nie wiem. Nie będę się zarzekał. Kiedy napisałem pierwszą jednoaktówkę „Jako to będzie”, myślałem że to jednorazowa przygoda literacka. A tu proszę... pod wpływem głównie publiczności i to w dużej mierze poznańskiej, były następne: „Będzie tylko lepiej” i „Za lepsze czasy”.

Lubi Pan spotkania z czytelnikami? To nowa dla Pana rola. Bardzo różni się od stania na teatralnej scenie?

– Lubię, bardzo lubię! Człowiek może tyle się dowiedzieć o sobie i o tym co go otacza. Poznaję często ludzi spoza mojego środowiska dowiadując się o ich problemach, gustach, preferencjach... Szczególnie dzisiaj, kiedy przepływ informacji jest – mówiąc delikatnie – bardzo skomplikowany. Poza tym takie spotkania dają mi kopa do działania. Jeszcze kilka lat temu wydawało się absurdalne, że napiszę i wydam książkę. A dzisiaj? Dan Brown miał rację pisząc: „Wszystko jest możliwe. Niemożliwe wymaga po prostu więcej czasu.”

Wakacyjna czytanka



JERZY SKOCZYLAS

Poznaliśmy się na plaży,
była rozkoszna, wesola,
miała na sobie niewiele,
nic do ukrycia zgoła.
A mą uwagę przykuła
nie tyle urodą twarzy,
co zgrabnym ciałem pokrytym
bogactwem pstrych tatuaży.
Po plaży był miły spacer,
kawiarnia i zachód słońca
i bryza cudnie kojąca,
skutki letniego gorąca.
By uzupełnić ów schemat
wczasowych, ludzkich relacji,
wylądowaliśmy u niej
po zakrapianej kolacji.
Był jeszcze markowy szampan,
muzyki klasycznej stróżka
i koniec końców oboje
trafiliśmy wreszcie do łóżka.
Golucy i wesolucy,

jak nas stworzyła natura
i tu zaczęły się schody,
bo górę wzięta lektura.
Nie mogłem za żadne skarby
skupić się nad jej wdziękami,
tak byłem oszołomiony
owymi tatuażami.
Na brzuchu miała trzy palmy,
na których rosły daktyle,
pod palmą siedziała małpa
i dwa opaste goryle.
Pod biustem był wiejski pejzaż
z jej domem gdzieś pod Owockiem,
na lewej piersi wodotrysk,
na prawej cytat z Wistockiej.
Na plecach miała obrazki
wyjęte z księgi rodzaju,
Ewę z Adamem i jabłoń,
a raczej coś w jej rodzaju,
bo boa wąż wił się po niej,
znaczy po jej kręgosłupie,
i zniknął poniżej lędźwi,
a tak konkretnie w jej pupie.
Zaś na pośladkach, co były
dość apetyczną konstrukcją,
namalowany był wulkan
groźący nagłą erupcją.
Zbocza wulkanu zdobity
z zastygłej lawy obrazu,
a środek krateru napis:

– prosimy pukać trzy razy.
Na lewej ręce był Bałtyk,
przystań w Darłowie i kutry.
Na prawej różne pozycje
wycięte jak nic z Kamasutry.
Po prawym udzie kominiarz
piął się po stromej drabinie
i zniknął w ciemnych czeluściach,
to znaczy w czarnym kominie.
Na lewym udzie był pomnik
i informacja złocona,
że jest to hołd uwielbienia
dla Martyniuka Zenona.
Za to na lewym podudziu,
z jej tylko znanych powodów,
była reklama popcornu
i logo wytwórni lodów.
Na prawym się ogłaszała
smażalnia frytek i gyros,
wypożyczalnia rowerów
i pizza włoska na wynos.
A dalej, już nie pamiętam,
bo tak się w niej zaczytałem,
że dojechawszy do pięty
usnąłem i odjechałem.
Zbudziła mnie zawiedziona,
wkurzona i niewyżyta.
Dlaczego!? Toż każdy facet
lubi przed spaniem poczytać.

Festiwale świata.

Festiwal Filmowy w Wenecji



ALEKSANDRA JACKÓW

Prolog

28 grudnia 1895 roku w kawiarni Grand Café w Paryżu dwaj bracia o nazwisku Lumière zorganizowali pierwszy publiczny pokaz krótkich filmów; było ich dziesięć, każdy trwał niecałą minutę. Wynaleziony przez braci Lumière kinematograf zapoczątkował nową epokę – narodziny kina. Miało upłynąć zaledwie 37 lat do pierwszego festiwalu filmowego.

Festiwal Filmowy w Wenecji

Co rok na przełomie sierpnia i września wenecka wyspa Lido gości perłę filmowego kalendarza. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji, bo o nim tu mowa, odbędzie się w dniach 30 sierpnia – 9 września 2023 roku i będzie to jubileuszowa, 80. edycja.

Festiwal Filmowy w Wenecji, najstarsze tego typu wydarzenie na świecie, zorganizowano po raz pierwszy w 1932 roku. Jego pomysłodawcą był hrabia Giuseppe Volpi di Misurata, protegowany Benito Mussoliniego (faszystowska propaganda położyła się długim cieniem na reputacji festiwalu). Włoska kinematografia przeżywała wtedy zapaść, chociaż jeszcze niewiele wcześniej należała do czołówek. Mussolini był zagorzałym wielbicielem kina. Aby wesprzeć rodzimą kinematografię, polecił jednemu z ministrów zorganizowanie wielkiej imprezy filmowej. Hrabia Volpi di Misurata, światowiec i bywalec, zaprosił na otwarcie wpływowych przyjaciół i artystów z całego świata. Goście dopisali; dyktator Włoch jako przeciwnik komunizmu i kapitalizmu cieszył się jeszcze popularnością, faszyzm nie pokazał jeszcze swego prawdziwego oblicza. Początkowo nazwa wydarzenia brzmiała: „Międzynarodowa Wystawa Sztuki Filmowej” („Esposizione Internazionale d'Arte Cinematografica”). „Wystawa” odbywała się na wyspie Lido, w hotelu Excelsior, o którym również warto wspomnieć. Na jego otwarciu w 1908 roku pojawiło się 3 tys. przedstawicieli europejskiej arystokracji oraz ponad 30 tys. weneccjan. Stylowy, ogromny hotel o 197

pokojach odwiedzały wybitne osobistości, np. Winston Churchill, król Edward VIII czy największe gwiazdy Hollywood.

Festiwal planowany był co dwa lata, jednak po ogromnym sukcesie inauguracji postawiono na coroczne edycje. Po wybuchu II wojny światowej imprezę zawieszono w 1943 roku, aby wznowić ją w roku 1946. Od początku bajkowe plenery Wenecji dodawały wydarzeniu blasku. Zmiana lokalizacji spotęgowała jeszcze efekt, kiedy zdecydowano o przeniesieniu pokazów na plac Św. Marka, w samym sercu Wenecji.

Główną nagrodą festiwalu jest Złoty Lew dla najlepszego filmu i Puchar Volpi dla najlepszego aktora i aktorki. Przyznawany jest także, choć nieregularnie, Srebrny Lew dla najlepszego reżysera filmu z sekcji konkursowej (swego czasu nagradzano nim także najlepszy filmowy debiut, film krótkometrażowy oraz scenariusz). Pokazy filmowe odbywają się na wyspie Lido w kinie Palazzo del Cinema z 1937 roku. Po rozbudowie kinowa sala główna mieści 1100 widzów, dostępne są także dwie mniejsze: Zorzi i Pasinetti.

Prawdziwy rozkwit weneckiego festiwalu rozpoczął się po II Wojnie Światowej; strąmatyzowani ludzie potrzebowali rozrywki i masowo chodzili do kin. Edycja z 1947 uchodzi za najbardziej udaną w historii festiwalu – wzięło w niej udział ponad 90 tys. osób, ustanawiając rekord nie do pobicia. Widok setek weneccjan i gwiazd filmowych tańczących razem na Placu Św. Marka zapadł w pamięci uczestników jako jeden z najbardziej wzruszających momentów w historii powojennej Wenecji.

Nadszedł rok 1968, rewolucja kulturowa i fala demonstracji. Festiwal przerwano na 10 lat, powodem były względy polityczne – organizatorów oskarżono o hołdowanie faszy-

stowskiej ideologii. Historia zatoczyła koło... Do 1979 roku funkcjonował sam przegląd filmowy bez nagród; te powróciły dopiero w 1980 roku. Festiwal zorganizowano wtedy niejako na nowo. Po raz pierwszy pokazano filmy z Indii, Japonii i Korei Południowej, Turcji i Libanu, Norwegii i Szwajcarii. Wenecka impreza zaczęła być postrzegana jako miejsce otwartego dialogu artystycznego między Wschodem a Zachodem, zdobywając rangę międzynarodowego wydarzenia ponad podziałami. Wenecja odzyskała status centrum światowej kinematografii.

Ciekawostki

Festiwal w Wenecji to barwna historia kinematografii, wzloty i upadki gwiazd, kontrowersje i skandale. To tutaj po raz pierwszy w dziejach kina pokazano na ekranie nagą kobietę („Ekstaza”). Był rok 1934 i pokaz wywołał prawdziwy skandal. Wcześniej zdesperowany mąż odtwórczyni głównej roli bezskutecznie próbował wykupić wszystkie kopie filmu...

Z kolei w 1937 roku nawiązał się pierwszy głośny romans, kiedy Wenecję odwiedziła Marlene Dietrich, bardzo już wówczas popularna, podobnie jak Erich Maria Remarque, autor „Na zachodzie bez zmian”. Burzliwa znajomość trwała krótko ale zakochany pisarz do końca życia przysyłał Marlenie pełne uczucia listy.

Jednak największy skandal wstrząsnął Wenecją w 1938 roku, kiedy pod naciskiem Hitlera i Mussoliniego jury festiwalu zmieniło swój werdykt i ostatecznie nagrodziło nazi-stowski film propagandowy. W efekcie, z inicjatywy Francji i przy wsparciu brytyjskim i amerykańskim, powołano nowy festiwal, który stanie się jednym z najbardziej prestiżowych wydarzeń filmowych na świecie; na



Credit: Venice Film Festival

jego miejsce wybrano leżące na Lazurowym Wybrzeżu Cannes.

Polscy laureaci Złotego Lwa

Złotego Lwa dla najlepszego filmu przyznano polskim twórcom dwukrotnie; otrzymali go: Krzysztof Zanussi za „Rok spokojnego słońca” (1984) i Krzysztof Kieślowski za „Trzy kolory. Niebieski” (1993). Natomiast trzech polskich reżyserów odebrało Honorowego Złotego Lwa za całokształt pracy artystycznej. Byli to: Roman Polański, Andrzej Wajda i Jerzy Skolimowski.

Wenecja

Wenecja jako miejsce festiwalu zapewnia mu splendor i niepowtarzalną atmosferę. Najślawniejsze punkty są powszechnie znane, zatem kilka ciekawostek na temat tego magicznego miejsca.

Wenecja była miastem-państwem pod rządami doży; zdobyła też status najdłuższej istniejącej republiki w dziejach. Miasto powstało w V wieku, kiedy uciekający przed najazdami Hunów uchodźcy salwowali się ucieczką na odludne wysepki na lagunie. Liczba wysp ulegała zmianie: część pochłonęło morze, inne połączono, zasypując oddzielające je kanały. Dzisiejsza Wenecja leży na ponad 100 wyspach, gdzie nad 170 kanałami zbudowano ponad 400 mostów, mostków i kładek. Wśród nich najstarszy i najśłynniejszy, liczą-

cy 48 metrów Most Rialto nad Canale Grande, jeden z symboli Wenecji.

Miasto jest systematycznie zalewane; każdego roku między październikiem a styczniem za sprawą zjawiska acqua alta (wysoka woda) pod wodą znajduje się zarówno Plac Św. Marka, jak i okoliczne dzielnice. Dawniej głębsze kondygnacje były stale zalane, jak np. dolne cele więzienia w Pałacu Dożów gdzie stojąca woda przysparzała dodatkowych mąk nieszczęsnym skazańcom. Wszelkobenca woda determinowała rozkład budynków, styl życia mieszkańców, transport, rozrywki. Niedługo na mostach odbywały się potyczki mieszkańców wysp, które dany most łączył; zwyciężali ci, którzy zrzucili więcej przeciwników do wody. Natomiast do dziś odbywają się parady wodne łodzi i gondoli na głównych kanałach, przyciągając tysiące turystów.

Przez wieki nieczystości z domów były wlewane prosto do kanałów, traktowanych jak szambo; sądzono, że prąd morski oczyści wodę. Oczywiście była to wylęgarnia bakterii i cyklicznie w mieście wybuchały epidemie; tylko w połowie XVI wieku w wyniku dżumy umarła 1/5 wenejcjan. Zarazonych wywożono na odosobnione wysepki, gdzie czekała ich śmierć, jako że pozbawieni tam byli wszelkiej opieki lekarskiej. Zła pamięć pozostała; wyspa Poveglia, onegdaj miejsce odosobnienia zadumionych, uważana jest za nawiedzoną i do dziś niezamieszkała.

W dzisiejszych czasach mechanizm wylewania nieczystości jest podobny jak kiedyś, z tą różnicą, że w budynkach zainstalowane są systemy filtrujące nieczystości wpuszczane do kanałów. Służby porządkowe czyszczą je co pewien czas, osuszając dno i wywożąc śmieci.

Legenda głosi, że liczący 48 metrów Ponte Rialto został wybudowany przez samego diabła; czart zaproponował budowniczemu mostu, że wykona pracę za niego a w ramach zapłaty weźmie sobie duszę pierwszego przechodnia. Niestety, traf chciał, że pierwszy na most wszedł syn nieszczęsnego murarza...

Wenecjanie wierzą, że w wigilię Wszystkich Świętych duchy zmarłych mieszkańców opuszczają cmentarz na wyspie Św. Michała i nawiedzają miasto. Duchy te mogą zobaczyć ci, których chrzest został z jakichkolwiek przyczyn przerwany. W kanałach lepiej nie pływać gdyż pełne są morskich potworów, czyhających na nieostrożnych; z kolei w ciemnych zaułkach czają się zjawy rozbójników. Nie mówiąc o czarownicach, które pływając nocą po kanałach, porywają dzieci.

Ciekawe czy podobne rewelacje spełniły swoje zadanie i zdołały powstrzymać żadnych przygód przed waleśaniem się po nocy? Cóż, zarówno wtedy, jak i teraz wciąż trudno oprzeć się pokusie.

Epilog

Po więcej wrażeń zaprasza sama Wenecja



 **Before the Premiere**

DOOR
CYPRIAN NOCON

VERNISSAGE
zaterdag 10 juni
15:00 uur



10 JUNI - 14 JULI 2023

GEMINI GALLERY - STRIJPSESTRAAT 52 - EINDHOVEN

Job interview. Polservice.



ANDRE SKIBNIEWSKI

Cykl wspomnień „Job interview” dotyczy okresu, w którym powstało nasze Stowarzyszenie – Stichting Pools Podium/Scena Polska w Holandii. Historie opisane są prawdziwe – czasami jedynie zmieniałem imiona osób w nich występujących. Lubię zagłębiać się we wspomnieniach... Świat, który wtedy nas otaczał odszedł już bezpowrotnie w zapomnienie, chociaż niektóre sytuacje na pewno mogą się powtórzyć. W poprzednich numerach Pools Podium ukazały się dwa felietony, których tytuł zaczynał się od „Job interview...” Niniejszy artykuł jest ich kontynuacją.

Chodzę dookoła domu. Wygląda na opustoszały, nieodgarnięty śnieg utworzył zasy. Usiadłem na schodach, wojskowa „Nysa” czeka. Gdzie są teraz rodzice? Co stało się z psem? Dzwonię do drzwi jeszcze raz... Zapowiada się, że do rana albo przesiedzę na schodach, albo resztę nocy spędzę na Korfantego¹... Wojsko mnie tam na pewno dowiezie.

Słyszę zza drzwi cichy głos mojej mamy.
– Kto tam?

Wchodzę do domu. Żołnierze, zapewne już spóźnieni, odjeżdżają z prowiantem dla nocnych posterunków.

Okazało się, że rodzice, myśląc, że to wizyta „smutnych panów” w związku z nielegalnym pozostaniem ich syna za granicą, chowali w pośpiechu trefne papiery i barykadowali drzwi wejściowe. Zaskoczenie było zupełne, gdy okazało się, że wróciłem, w dodatku z bochenkiem gorącego chleba i z dwiema, niepełnymi już walizkami cytrusów.

Pierwsza Wigilia Bożego Narodzenia, Sylwester oraz Nowy Rok stanu wojennego zasługują jednak na oddzielny felieton.

Wkrótce po nowym roku, wypełniłem podstemplowany i podpisany in blanco druk delegacji służbowej i wybrałem się do Warszawy. Pociąg był prawie pusty – śnieg

¹ W Opolu przy ulicy Korfantego mieścił się okazały budynek Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej.

i ogólna sytuacja odstraszały od wyjazdów, nawet służbowych. Biura Polservice mieściły się niedaleko dworca, przy ulicy Chałubińskiego numer osiem. Od stacji Warszawa Centralna trzeba było przejść tylko przez ulicę. Wszedłem do okazałego, nowego budynku, przypominającego nowojorski drapacz chmur.

Przy wejściu zatrzymał mnie ciepło ubrany żołnierz z bronią na ramieniu.

– Pan do kogo?

– Do Polserwisu.

Odpowiedziałem niepewnie.

– Na górę wjazdu nie ma. Tam jest stolik Polserwisu, pan zapyta.

Zawsze denerwował mnie ten tryb rozkazujący. „Pani mi zapakuje...”, „pan się dowie...”, czy w najlepszym przypadku „pan zaczeka”. Ciekawe, czy ktoś w Polsce napisałby w zakończeniu urzędowego pisma „we wish you a safe return home”.

Ustawiłem się w długiej kolejce do stojącego po prawej stronie stolika, przy którym siedziały dwie panie. Żołnierz obserwował bacznie wchodzących. Pracownikom biurowca sprawdzał ich dowody osobiste i przepustki.

– Szczęśliwi ludzie.

Pomyślałem.

– W Warszawie mamy już naprawdę wielki świat... Może ja kiedyś w takim biurze będę pracował.

Doszedłem do stolika. Pani spojrzała na mnie i powiedziała chłodno:

– Pan chciał do kogo?

– Nie wiem, do kogoś z Polserwisu...

– Nie wie pan, do kogo?

– Nie wiem, chciałem z kimś porozmawiać o kontrakcie. Mam zaświadczenie...

Pani spojrzała na pismo z Interbetonu, ale bez entuzjazmu. Pewnie nie знаła angielskiego.

– Gdzie pan pracuje?

W Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych w Opolu.

– A ma pan zgodę z Ministerstwa?

– Jakiego ministerstwa? Zgodę na co?

Pani straciła cierpliwość. Pochyliła się do koleżanki.

– Komu oni podlegają? DEODEPE?

– Chyba Komunikacji...

Odpowiada koleżanka. Zgadza się?

– Tak, tak, na pewno.

Odpowiadam pospiesznie. Nawet mamy z Warszawy „gorącą linię”².

– To niech pan załatwi zgodę, wtedy pana wpuszczę. Mieszczą się przy tej samej ulicy co my. Chałubińskiego 4/6.

² Dyrekcja miała bezpośrednie połączenie telefoniczne z Warszawą – rozmów z Ministerstwem nie trzeba było zamawiać przez Poczta Polska.

– Dobrze. Czy może mi pani podbić delegację?

– Nie mam pieczętki. Tu się nie podbija, trzeba wjechać na górę. Do widzenia. Następny!

Żołnierz przyprowadził następnego interesanta.

Poszedłem pod wskazany adres. Ministerstwo Komunikacji prawie sąsiadowało z gmachem, w którym mieścił się Polservice. Po dłuższych tłumaczeniach na portierni przyjęła mnie starsza pani, która oświadczyła, że niczego nie uda się załatwić bez wypełnionej i poświadczonej przez pracodawcę ankiety. Taki druk może mi wręczyć, ale nie wie, czy to wystarczy. Na pewno muszę napisać podanie, wyjaśnić w jakiej sprawie mam zgłosić się do Polserwisu, dołączyć życiorys i czytelnie wypełnioną ankietę, potwierdzoną przez upoważnioną przez Pracodawcę osobę. Po osobistym złożeniu tych dokumentów sprawa zostanie rozpatrzona, a jeżeli decyzja będzie pozytywna, dostanę zgodę na odwiedzenie Polservice.

Wielostronicowa ankieta była zapewne przygotowana także dla agentów służb specjalnych, bo zawierała pytania w rodzaju:

Czy służył lub ubiegał się przed wojną lub w czasie okupacji do II Oddziału, policji, żandarmerii, straży więziennej lub sądownictwa?

Czy przyjął Volkslistę i której kategorii?

Przynależność do partii i organizacji politycznych, wojskowych, społecznych i religijnych – w przeszłości i obecnie.

Kto z Waszej rodziny i żony (męża) rodziny znajduje się za granicą. Gdzie, od kiedy, czym się trudni. Podać przyczyny wyjazdu. Stopień pokrewieństwa, nazwisko i imię, źródła utrzymania, dokładny adres.

Czy był za granicą, gdzie i kiedy. Przyczyna wyjazdu i czym się trudnił. Na podstawie jakich dokumentów wyjechał. Podać dokładne adresy i miejsca pracy za granicą.

Opinia zakładu pracy.

– Pan to wypełni i odeśle do nas.

Powiedziała pani.

– Listem poleconym, oczywiście, bo gdzieś zginie. Żadnej rubryki nie zostawić bez odpowiedzi, bo zostanie odrzucone.

– A co mam napisać o Volksliście? Urodziłem się już po wojnie...

– To pan napisze „nie dotyczy”. Wszystko trzeba tłumaczyć... Składał pan kiedyś papiery na paszport? Wszystko musi być wypełnione. Trzeba się dowiadywać, czy dostał pan zgodę. Kiedy – trudno mi powiedzieć, to zależy... Niech pan dzwoni.



Byron Bay (Australia). Wschód słońca.

Fot. A. Skibniewski

Na szczęście pani przybiła mi na druku delegacji pieczętkę i popołudniowym ekspresem mogłem całkiem legalnie wrócić do Opola.

Szlak został przetarty.

Wypełnioną ankietę, z adnotacjami o moim wzorowym zachowaniu, morale i pracy społecznej wysłałem pocztą w następnym tygodniu. Na rozmowę telefoniczną, zamówioną przez urząd pocztowy trzeba było czekać w najlepszym czasie przez kilka godzin, chociaż czasem bywało to kilka dni. W mieszkaniu nie mieliśmy telefonu – mieli go w domu rodzice, do których rano wybierałem się, by zamówić Warszawę. Dzwoniłem co drugi, trzeci dzień, żeby pani nie denerwować moją natarczywością i nie pogrzebać sprawy całkowicie. Siedziałem w domu i czytałem dużo książek. Nie chciałem wychodzić na ulicę przed godziną piętnastą, żeby nie spotkać patrolu, któremu musiałbym wytłumaczyć, co robię będąc na urlopie bezpłatnym.

Na początku lutego pani z Ministerstwa Komunikacji w rozmowie telefonicznej przerywanej przez „mówi się?” i „rozmowa kontrolowana” potwierdziła, że mam zgodę na odwiedzenie Polserwisu i mogę przyjechać do Warszawy. Wspaniale!

Wypisałem sobie gotową in blanco delegację i o piątej rano ekspresem pojechałem do Warszawy. Żołnierz z bronią stał przy wejściu, jak zwykle. Po okazaniu zgody z Ministerstwa dostałem przepustkę i pojechałem windą na górę. Przyjął mnie starszy ode mnie, elegancko ubrany pan. Podałem list od Haralda.

– Interbeton? Taka nazwa? No dobrze, mniejsza z tym. Ale jaka tu będzie stawka? Nic tu nie pisze... To tak nie może być.

– Nie wiem, rozmawialiśmy tylko tak ogólnie...

Powiedziałem, udając zmartwienie.

– Na pewno odpowiednia do moich kwalifikacji.

Dodałem.

– Tego się tak nie da załatwić. Musi być tutaj jakaś korespondencja, rozumie pan? Muszę wysłać teleks do tej firmy, niech potwierdzą. Kłopot jest niestety w tym, że w Warszawie działa jeden teleks. Na wysłanie czeka się do trzech tygodni. A jak pan załatwi wizę? Do Holandii? Do Libii? Trudna sprawa... Bardzo trudna.

– Myślałem, że może załatwią to Państwo?

Odpowiedziałem niepewnie.

– My?

Mój rozmówca wyglądał na zaskoczono.

– Polservice?

Chyba popełniłem jakieś faux pas.

– Tak tylko myślałem...

– My takich możliwości nie mamy, skąd? Niech oni... Holendrzy niech załatwiają. Dobrze, napiszemy im to. Na razie trzeba będzie wysłać teleks. Trzy tygodnie. To jeszcze długa droga... Nie wiem, czy to się da załatwić.

Pożegnałem się, szczęśliwy, że jest jakiś postęp. Pan podstemplował druczek delegacji, mogłem spokojnie wracać do Opola. Zgodnie z obietnicą złożoną mojemu dyrektorowi, po przyjeździe druki delegacji paliłem, bo do ich wystawiania i rozliczania nie było przecież żadnych podstaw „formalno – prawnych”.

Ważne, że sprawa była w toku... Znosi się na to, że do pracy w Dyrekcji już szybko nie wrócę.

C.d.n.

Wszystkim Czytelnikom, Sympatykom oraz Redakcji Pools Podium – Sceny Polskiej w Holandii życzę słońca, pogody i wspaniałego wypoczynku. Powróćmy z naszych wakacji zresetowani, pełni energii, optymizmu i wiary w lepszą przyszłość. Do zobaczenia!

„Cieszę się, że moja mama umarła”

– poruszające wspomnienia Jannette McCurdy



GRAŻYNA GRAMZA

Kilka tygodni temu sięgnęłam po książkę „Cieszę się, że moja mama umarła” i mimo kontrowersyjnego tytułu postanowiłam ją przeczytać, a jej treść pozostanie ze mną na długo.

Są to poruszające wspomnienia Jannette McCurdy, jednej z najbardziej rozpoznawalnych dziecięcych aktorek amerykańskich, gwiazdy Nickelodeonu w latach 2000-2016.

Różowo-żółta okładka książki jest mocno przesłodzona, co wskazywałoby na opowieść o typowej karierze dziewczynki, której ziścił się sen o byciu sławną. Niestety tak nie jest. Jannette McCurdy swoje wspomnienia pisze w swobodnym stylu i książkę czyta się lekko i przyjemnie, dopóki nie uświadomimy sobie, że nie jest to powieść o toksycznych relacjach w rodzinie, a o życiu prawdziwego dziecka, a potem wrażliwej nastolatki. Opowieść Jannette jest porażająca, bo obraz uśmiechniętej i zadziornej gwiazdki telewizyjnej kłóci się z przeżyciami, do jakich wraca w swojej książce. McCurdy wspomina, w jaki sposób matka naruszała jej prywatność, urażała godność, a w końcu popchnęła ją w anoreksję i bulimię, co powodowało, że dziewczyna nie

miała poczucia własnej wartości. Zaczęła też mieć problemy zdrowotne, bo nadużywała alkoholu. Nie stroniła od narkotyków. Popadała też w religijne obsesje i wiązała się z nieodpowiednimi partnerami. Zapewne znajdą się osoby, które zarzucą aktorce zbyt ni ekszhibicjonizm, ale, jak pisze sama autorka, miało to dla niej przede wszystkim wartość terapeutyczną.

Książka jest też oskarżeniem amerykańskiego show-biznesu, który wykorzystuje młodych ludzi, nie zważając ani na ich predyspozycje psychiczne, ani dobro ogólnie pojęte. Liczy się popularność i zyski, które dziecięcy aktorzy generują. Nikt nie kontroluje opiekunów i rodziców, którzy zmuszają własne pociechy do uczestniczenia w projektach często nieodpowiednich do ich wieku, co skutkuje później ich wypaleniem i sięganiem po alkohol i narkotyki. Wyścig do tego, by być na topie zaślepia, a na drodze kariery gubią się gdzieś młodzi artyści, o których czasem pisze prasa plotkarska, niestety pokazując ich złamane losy.

Jannette McCurdy w lutym 2021 oświadczyła, że kończy karierę aktorską. Ma na swoim koncie kilka nagród, a znana jest z filmów i seriali takich jak „iCarly”, „Zwariowany świat Malcolma”, „Will & Grace”, „Życie przede wszystkim”, „Potyczki Amy” czy „Sam i Cat”. Poza pracą na planie McCurdy zajmowała się także muzyką, przede wszystkim Country. Najczęściej tworzyła covery znanych piosenek. Jej debiutancki album nosił tytuł „Not That Far Away” (2010). Od śmierci matki, Debry, która zmarła na raka w 2013 roku, jest ambasadorką fundacji „Starpower Starlight”,

KONTROWERSYJNA. PORUSZAJĄCA. SZCZERA.

Cieszę się, że moja
mama umarła

Jennette
McCurdy



Przełożyła i Ska

której celem jest pomoc dzieciom w sytuacji choroby.

Dorosłej Jannette (ur. 26.06.1992) udało się uporządkować swoje życie i odkryć, co tak naprawdę chce robić. Mianowicie jej marzeniem było zostać pisarką. Czytając ten pełen emocji zapis zmagania aktorki o mozolnym odzyskiwaniu kontroli nad własnym życiem, wierzę, że wkrótce napisze następną książkę, która będzie literackim sukcesem, a „Cieszę się, że moja mama umarła” jest pozycją obowiązkową, nie tylko dla miłośników kina, ale przede wszystkim dla rodziców i wychowawców. ■

GRATULACJE!

Redakcja Sceny Polskiej składa naszej koleżance Grażynie Gramza serdeczne GRATULACJE z okazji uzyskania tytułu doktora nauk humanistycznych na Wydziale Studiów Edukacyjnych UAM w Poznaniu.

Dr Grażyna Gramza obroniła w czerwcu rozprawę doktorską pt. „Kulturalno-edukacyjna aktywność środowisk polonijnych w Holandii w latach 1989-2019”.

Dziękujemy za poświęcenie czasu i uwagi opisowi działalności fundacji Pools Podium i kwartalnikowi „Scena Polska”.

Grażynko, podziwiam Twój wysiłek i liczę na dalszą współpracę ze Sceną Polską! W imieniu własnym i redakcji

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



Dobra rozmowa



ALICJA GRYGIERCZYK

Ewa jest chora. Nieuleczalnie chora. Im dłużej trwa choroba, tym mniej przyjaciółek jej w tej chorobie towarzyszy. Rok temu sprawiało jej to ból. Teraz przynosi ulgę.

Marta: – Bardzo ci współczuję.

Ewa: – Nie chcę współczucia i litości. Cała cierpną, jak tak do mnie mówisz.

Marta: To co mam mówić?

Ewa: – Nic nie mów.

Marta: – Jesteś na mnie zła?

Ewa: – Nie jestem.

Basia: – Wiem co czujesz.

Ewa: – Skąd możesz wiedzieć? Ja sama nie wiem, bo to zmienia się z dnia na dzień.

Basia: – Nie chciałam cię urazić.

Ewa: – Wiem. Przeczytaj mi gazetę.

Anka: – Wyjdiesz z tego, tylko musisz bardzo chcieć.

Ewa: – Przecież wiesz, że nie wyjdę, więc po co to oszustwo. W moim życiu już nie ma na nie miejsca.

Anka: – To jak mam cię pocieszyć ?

Ewa: – Ja nie chcę pocieszenia i nieszczerości.

Anka: – Nie wiem jak z tobą rozmawiać.

Ewa: – Właśnie tak. Szczerze.

Anka: – Przepraszam za moją irytację.

Ewa: – To właśnie jest szczerść.

Anka: – To, że przepraszam?

Ewa: – Nie, twoja irytacja.

Anka: – Nie rozumiem.

Przepaść jaka utworzyła się między Ewą a dziewczynami, zwiększała się z dnia na dzień. Ewa wspominała beztroskie lata, kiedy spędzały razem czas, wyjazdy w góry, wypadki na narty, wspólne urlopy nad morzem. Wtedy nadawały na tych samych falach. Ale w pewnym momencie, to szczęśliwe życie Ewy skończyło się. Przyszła choroba i zakłóciła naturalny sposób porozumiewania się, zarówno ze strony Ewy jak i jej przyjaciółek. Świat Ewy zawęził się do jej choroby, świat dziewczyn pozostał taki sam.

Hanna: – Chcesz porozmawiać o śmierci?

To pytanie zaskoczyło Ewę, bo nie sądziła, że kiedykolwiek padnie. A ona chciała o śmierci rozmawiać. Jednak za każdym razem, kiedy poruszała ten temat, słyszała: – nie myśl o tym, – przestań, – myśl pozytywnie. Rozumiała ich strach. Należał do zdrowego życia.

Hanna była joginką. Nie było między nimi zażyłości, bo Hanna nie spoufalała się z nikim, ale miała w sobie coś, co przyciągało do

niej ludzi: spokój, niezmienną pogodę ducha i to, czego Ewie brakowało najbardziej: przyjaźnienie się samej ze sobą. Hanna: – Boisz się śmierci?

Ewa: – Boję się, kiedy nie czuję bólu. Wyczekuję jej, kiedy ból staje się nie do zniesienia i zbyt długo trwa.

Hanna: – Myślę, że po to jest ból, żeby się ze śmiercią zaprzyjaźnić, żeby chciało się przejść na drugą stronę.

Ewa: – Przemawia to do mnie.

Hanna: – Przez całe wieki, śmierć była widoczną, zrozumiałą i odczuwalną częścią życia. Dzisiejszy człowiek oddalił się od niej. Wie, że gdzieś tam jest ale go nie dotyczy.

Ewa: – A przecież dotyczy każdego.

Hanna: – Śmierć jest częścią życia. Im bardziej jest się tego świadomym, tym bardziej kocha się życie.

Ewa: – A co z umieraniem? Czym ono jest?

Hanna: – Umieranie jest powrotem naszej energii do Źródła. Wszystko w tym świecie jest wibrującą energią. Drzewa, domy, nawet skały. Tylko inna jest częstotliwość wibracji i inny czas powrotu.

Ewa: – Skąd to wiesz?

Hanna: – Ze wszystkich teorii na ten temat, ta przemawia do mnie najbardziej. Czuję ją.

Ewa: – A nasze ciało?

Hanna: – Też jest energią o właściwej tylko sobie wibracji ale o dłuższym czasie powrotu niż dusza.

Ewa: – Dobra jest ta rozmowa.

Hanna: – Przyjdę też jutro.

Ewa: – Przyjść.

„Kwiaty polne”

Od dziejów zarania
Na najmniejszej łące
Na rowie przy drodze powolnej
Na skraju pola rozległego
Ja nie widzę nic innego
Tylko te kwiaty polne
Życiem prawdziwym pachnące.
Kiedyś...
Zwoziłam do domu
Ich całe naręczą
Ciągłe nie są mi obojętne
Choć dla towarzyszy
Letnich spacerów łąkowych
To niepojęte,
Ja...
Ja ich zamęczam
Ja ich posyłam na rowy
Ja ich zmuszam do rwania
Uczę mitowania

Danuta Ławniczak



Zaproszenie do udziału w konkursie „The Voice of Polonia”.

Zgłoszenia do 15 września.



Czujesz, że urodziłeś się z mikrofonem w ręce, a nie miałeś jeszcze okazji tego udowodnić? A może przeciwnie, masz już pierwsze sukcesy za sobą i szukasz kolejnych doświadczeń? Zakochałeś się w polskiej piosence na wakacjach? A może – gdy ogarnie Cię nostalgia – wyciągasz z półki swoją ulubioną płytę z czasów młodości, z którą związanym jest tyle wspomnień? Mówisz dobrze po polsku, chociaż w Polsce nie miesz-

kasz? A może tylko fascynuje Cię ten „szeszczący” język?

Jeśli chociaż na jedno z tych pytań Twoja odpowiedź brzmi „tak” konkurs wokalny „The Voice of Polonia” jest dla Ciebie. W tym roku odbywa się już czwarta edycja międzynarodowego konkursu polskiej piosenki. Do 15 września należy nadesłać swoje dwa nagrania i wypełnić formularz zgłoszeniowy dostępny na stronie www.thevoiceofpolonia.eu. Spośród zgłoszonych

kandydatur profesjonalne jury wybierze 32 wokalistów, którzy zostaną zaproszeni na przesłuchania na żywo do Brukseli. Po tych przesłuchaniach wyłoniona zostanie szczęśliwa ósemka, która wystąpi w wielkim finale w prestiżowej sali Bozar w Brukseli. Podczas Finału do jury dołączy gwiazda polskiej muzyki rozrywkowej. W poprzednich edycjach Konkursu byli to Marysia Sadowska, Stanisław Wenglorz, Marek Piekarczyk czy Janusz Radek. Kto przyjedzie w tym roku – pozostaje na razie tajemnicą... Jeden z finalistów odbierze nagrodę specjalną Stowarzyszenie Artystów Wykonawców SAWP w wysokości 1000 €. Inne atrakcyjne nagrody również są przewidziane. Będzie więc co walczyć.

UWAGA: Kandydaci z Holandii mogą uzyskać dodatkowe informacje kontaktując się ze Sceną Polską w Holandii: poolspodium@gmail.com.

Zaproszenie do udziału w X Międzynarodowym Konkursie Fotograficznym dla dzieci polonijnych

Forum Polskich Szkół w Holandii zaprasza polonijne dzieci i młodzież z całego świata do udziału w dziesiątym jubileuszowym wakacyjnym międzynarodowym konkursie fotograficznym „Polska w Obiektywie Polonijnego Dziecka”.

Każde polonijne dziecko w wieku 4-18 lat mieszkające poza Polską może wysłać na konkurs 1 zdjęcie wykonane samodzielnie podczas wakacyjnego pobytu w Polsce. *Jaka jest Polska w Waszych oczach? Co Wam się wydaje najbardziej interesujące, wyjątkowe, piękne, warte pokazania całemu światu?*

Czekamy na Wasze zdjęcia do **10 września 2023 r.**

Zdjęcia można przesyłać za pomocą [formularza zgłoszeniowego](mailto:konkursfotograficznyfpsn@gmail.com). W razie problemów prosimy o kontakt na adres: konkursfotograficznyfpsn@gmail.com. Prosimy o zapoznanie się z [Regulaminem konkursu](#).

Prosimy również o wysyłanie zdjęć w dobrej rozdzielczości w formacie jpeg, co ważne jest przy druku zdjęć na wystawę w formacie A4.

Międzynarodowe jury wybierze 10 najciekawszych zdjęć. TOP 1w0 zdjęć zostanie opublikowane w postaci kalendarza oraz widokówek. Wszystkie zdjęcia konkursowe zostaną opublikowane na naszych stronach, a wybrane zdjęcia na stronach partnerów konkursu.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone **4 listopada 2023 r.** podczas gali online, na którą zapraszamy wszystkich uczestników konkursu. Po czym wybrane fotografie uczestników będzie można obejrzeć w Galerii Gemini w Eindhoven. Forum Polskich Szkół w Holandii jest stowarzyszeniem non-profit działającym w Holandii. Jest organizacją dachową zrzeszającą szkoły społeczne z terenu Holandii.

Zainteresowane współpracą oraz wsparciem konkursu organizacje, media oraz sponsorów prosimy o kontakt mailowy: info@fpsn.nl

Więcej o konkursie na naszej [stronie](#) oraz [facebooku konkursu](#). Zapraszamy! Projekt jest dofinansowany przez Ambasadę RP w Hadze z funduszy polonijnych Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.

Prosimy o przesłanie informacji o konkursie do osób/organizacji zainteresowanych oraz wstawienie w miarę możliwości na Państwa strony internetowe oraz media społecznościowe za co z góry dziękujemy!



V Światowy Festiwal
Wikliny i Plecionkarstwa
Poznań 2023



WWW.FESTIWAL-WIKLINA.PL

**22-27 SIERPANIA
2023**

LOKALIZACJA FESTIWALU:
MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE



mtp
GRUPA

**V PORA
ROKU**



BESKIDEN HOOFDROUTE

Ontdek de langste
wandelroute in de
Poolse Karpaten!

- 502 km te voet
- 6 bergketens
- 3 provincies: Silezië, Klein-Polen en Subkarpaten
- 4 Nationale Parken: Babiogórski, Gorceński, Magurski en Bieszczadzki
- 2-3 weken avontuur



polen.travel/nl/wandelen

